№ 5 Warszawa, dnia 17 (29) Stycznia 1881 roku

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

WALTERSKOTT.

przez

Sewerynę Duchińską.

Rozpoczęto w tych czasach w Paryżu, nowe wydawnictwo wszystkich dzieł Walterskota, w illustrowanej a przytem nadzwyczaj taniej publikacyi. Wydawcy szlachetną powodowani myślą pragną rozpowszechnić między ogółem czytających upodobanie w zdrowych utworach, i zrównoważyć tym sposobem zgubny wpływ bezecnych romansów, które jak muchomory wyrastają codziennie na literackich śmietnikach Paryża.

Powieści Walterskota popularne były u nas przed pięćdziesięciu laty; dziś utonęły w powodzi tylu przekładów, czerpanych bez wyboru z obcych nieczystych źródeł. Franciszek Salezy Dmóchowski tłomaczeniem szkockiego mistrza położył nieocenioną zasługę, tem większą że wydawnictwo swoje, rozpoczęte przed rokiem 1830, prowadził następnie w czasach wielkiej posuchy literackiej i umysłowego odrętwienia. Obrazy historyczne pełne życia i barwy, skreślone ręką biegłego psychologa, stały się wówczas silnym bodźcem dla młodych umysłów i przygotowały nam nie jednego pracownika uznanej dziś zasługi. Z pomiędzy innych wymienimy tu utalentowanego autora, który stworzył nowy rodzaj w literaturze naszej, wprowadzając do niej lud wieśniaczy, znany przed nim jedynie z ckliwo sielankowej strony. Umiał on uniknąć dwóch równie niebezpiecznych szkopułów, umiał podnieść rzeczywistość do idealnych wyżyn, biorąc prawdę psychiczną za podstawę powieści swoich. Otóż przekonani jesteśmy, że nasz ludowy powieściopisarz, któremu samodzielności nikt zaprzeczyć nie może, lubo nie naśladował Walterskota, zawdzięcza mu przecież pierwszy pohop do pracy, a co więcej ową harmonijną równowagę między dwoma prądami, realistycznym a idealnym od której nigdy nie odstąpił. Mówimy to na pewnej zasadzie, znamy bowiem wielkie zamiłowanie autora naszego w Walterskocie, wiemy że w powieściach jego rozczytywał się od młodu i dotąd rozczytuje, że uznaje w nim mistrza i przewodnika.

Nowe wydanie dzieł Walterskota obudziło żywy poklask w poważnej części społeczeństwa francuzkiego. Pamięć wielkiego pisarza odżyła pod piórem krytyków, imię jego zaświeciło nowym blaskiem. Pod wpływem świeżego wrażenia, pragniemy także nakreślić słów kilka o jednym z tych olbrzymów szkoły romantycznej, który wycisnął piętno geniuszu swego na literaturze europejskiej, w pierwszej połowie tego wieku.

Z gór szkockich powiał na Anglią pierwszy prąd romantyzmu. Słynny ludowy lirnik Burus, poprzednik Byrona i Schellacya, urodził się w Szkocyi. Wkrótce po nim przyszedł na świat Walterskott. Urodzony w Edymburgu, był synem zdolnego adwokata. Chromy od lat dziecięcych zarówno jak Byron, nie mógł dzielić pląsów z rówiennikami; książka jedyną była mu słodą i zabawą; gorąco ją też umiłował. Zajmowały go szczególniej odwieczne kroniki narodowe: niezrażony oschłym ich stylem i niepopularnością języka, czytał je z zapałem, widział w nich odbicie dawno zapomnianego świata; czego im nie dostawało dopełniał potęgą młodzieńczej wyobraźni. W dniu kiedy trzynastoletni chłopiec otworzył po raz pierwszy księgę Percego, pełną ułomków starodawnej poezyi, w tym dniu zapomniał całkiem o obiedzie. Odtąd żył wyłącznie w przeszłości.

„Niech mi kto, mówi on, pokazał stary zamek lub odwieczne pobojowisko, byłem tam jakby w domu. Gromadziłem chmary zapaśników, strojnych w zbroje i pióropusze; porywałem słuchaczów gorącą opowieścią. Raz pamiętam przejeżdżając wozem pocztowym koło S-t Arnand, jąłem prawić towarzyszom podróży o morderstwie tamecznego arcybiskupa. Zapewniali mnie potem, że opowieść moja na całą noc zegnała im sen z powiek.”

W początkach zawodu pisarskiego Walterskott był zwolennikiem i uczniem literatury niemieckiej. Wydał nasamprzód tłomaczenie Lenory Bürgera. Pierwsze nawet oryginalne dzieła jego noszą widoczne ślady niemieckich wpływów. Krótko to przecież trwało. Samodzielna twórczość uchroniła go od naśladownictwa. Mistrzami jego były wyłącznie starzy minstrele szkoccy, jedynym wzorem odwieczne tradycye; z tych swojskich źródeł czerpał on poetyczne natchnienie. *Pieśni ostatniego Minstrela, Marmion, Pani Jeziora, Pan dwóchset wysp,* śliczne poemata wyśpiewane pomiędzy 1805 a 1814 rokiem, wszystko to nieodrodne dzieci podań szkockich. Niemi czarodziej pochwycił odrazu za serce czytelników: w ciągu lat sześciu pieśń Minstrela rozbiegła się po świecie w dwudziestu pięciu tysiącach egzemplarzy.

Poezye Walterskota pełne szczerego zapału poruszyły głęboko całą Anglią. Krytycy zarzucali im niepoprawność formy, mimo to ogół serdecznie im przyklasnął. Roje poetów poszło za jego śladem, sami nawet klasycy porwani prądem nowym, rozkruszyli krępujące ich pęta, porzucili szkolny pedantyzm, zwrócili się do narodowych tradycyi. Walterskott tymczasem, po pierwszej przegrywce poetycznej, w inną uderzył strunę: zabrał się do historycznej powieści. W roku 1814 wydał bezimiennie Wawerleya. Był to żywotny obraz wypadków zaszłych w połowie ośmnastego wieku, kiedy Karol Edward w imię dziedzicznych praw Stuartów opanował Szkocyą. Autor wybornie odmalował cha-

rakter starych Szkotów, ich obyczaje i zabobony, ich tradycyjny ubiór, ich wioski ocienione górami. Snadno było odgadnąć w nim rodowitego Szkota, przyrosłego sercem do ziemi macierzystej, a obok tego głębokiego erudytę świadomego dziejów narodowych: nazwisko autora pozostało przecież tajemnicą.

W następnym roku zjawił się *Guy-Mannering*. Tajemnica osłaniająca imię powieściopisarza rozbudziło tem większy zapał. Wkrótce potem sypnęły się nowe utwory: *Antykwaryusz, Rob-Roy, Czarny karzeł, Purytanie. Więzienie w Edymburgu, Legenda Montroze, Narzeczona z Lamermooru, Monaster, Opat, Rozbójnik Morski,* wszystkie te powieści odtwarzały życie wewnętrzne Szkotów, w różnych epokach historycznych. Wreszcie powieściopisarz ustąpił z gór na dolinę: z dziejów Anglii wysnuł cudną powieść *Iwanhoe* w r. 1820, po niej *Kenilworta, Przygody Nigela, Woodstocka.* Przerzucił się nakoniec za cieśninę, z historyi Francyi napisał *Quentin Durwarda.* W roku 1827 dopiero zrzucił z siebie tajemniczą zasłonę, uznał się sam twórcą tylu arcydzieł.

Powieści Walterskota zachwyciły nietylko Anglią, lecz całą Europę. Najchlubniejsze świadectwo oddał im współczesny wieszcz, odrębny charakterem geniuszu niemniej przecież gorący wielbiciel Szkockiego mistrza. Lord Byron z uniesieniem wysławiał jego powieści, nie rozstawał się z niemi w dalekich wędrówkach swych po świecie. „To skarb mój literacki! powtarzał do kapitana okrętu Medwina, odczytywać je będę co rok, a zawsze z nową przyjemnością!"

Walterskott zyskał miliony za prace literackie. W pięćdziesięciu latach życia, wszystko nagle utracił, skutkiem złych spekulacyj księgarskich, a bardziej jeszcze z powodu szalonych wydatków na odbudowanie zamku Abotswoord. Odtąd zmuszony był pisać dla pieniędzy, to jest pośpiesznie i niedbale.

W czasach najżywotniejszej działalności przedsiewziął on razem dwa zadania, i dążył ku ich spełnienieniu z całą energią. Naprzód postanowił stworzyć nowy rodzaj powieści historycznej, ożywić przeszłość twórczem tchnieniem. Myśl tę wyraził wybornie w Wawerleyu. Kiedy naprzeciw suche go erudyty szukającego tylko w historyi pozytywnych faktów i przemian politycznych, stawia młodego bohatera swego Edwarda, który umie ukolorować suchy szkic potęgą wyobraźni, i tchnąć życie w aktorów wielkiego dramatu, odegranego w dziejach.

Niełatwo to przecież wskrzesić do życia umarłych, tych zwłaszcza którzy pozostawili w dziejach niezatarty ślad stopy swojej. Bohater musi zmaléć ujęty w ciasne ramy powieści. Wiedział o tem Walterskott, i dlatego to nie wyprowadza nigdy na widownię olbrzymów, lecz pozostawia ich w cieniu, na pierwszym zaś planie stawia drugorzędne postacie, z któremi czuje się swobodniejszy. Dzisiejsi krytycy pozytywni, zarzucają mu to właśnie w czem okazał się mistrzem nieporównanym; gniewa ich że nie kraje żywcem piersi swych ofiar, że ich drgających serc nie rzuca na pastwę czytelników, że jest raczej malarzem duszy ludzkiej, niż fizyologiem uzbrojonym w szkalpel, nigdy z krwi nieociekły.

Drugim celem Walterskota było, odkryć przed światem ukochaną Szkocyą. Z tego zadania wyszedł jak prawdziwy tryumfator. Mistrzowskiem piórem odtworzył cudne krajobrazy swej macierzystej ziemi; góry tonące w mgle sinej, u podnóża utkane wrzosami, malownicze jeziora i cieniste parowy. Na tle tych krajobrazów, rozrzucił w malowniczym bezładzie wioski i miasta, odwieczne zamczyska, szczątki feudalnych czasów, skromne dworki i chaty wieśniacze, ukazał naród szkocki we wszystkich jego warstwach, zacząwszy od barona, dumnego zasługą dwudziestu pokoleń, do kmiecia w siermiędze i żebraka w łachmanach. Na głos czarodzieja przesuwają się w kalejdoskopie, najoryginalniejsze postacie erudytów, antykwaryuszów, purytanów, mieszczan i rzemieślników, wielkich pań i prostych kumoszek, słowem wszystek lud, z jego wiarą i przesądami, pełen wielkich cnót, obok wad i drobnych śmieszności. Każda postać żywotna, każda rzeczywista, z całą oddana prawdą, częstokroć z dowcipnym humorem. Walterskott stworzył rodzajową literaturę, jak mistrze flamandcy tworzyli rodzajowe malarstwo. Typy wybiera autor z pomiędzy mieszczaństwa i wieśniaczego ludu; ukazuje śmieszną ich stronę: drobne kłamstwa, przechwałki, pretensyonalność, skąpstwo i inne wady; żartuje z nich, ale nigdy nie szydzi; jeżeli chłoszcze niekiedy to z miłością jak ojciec. Obok małych skaz, pokazuje zawsze dodatnią stronę. Ani próżności archeologa, zatopionego fanatycznie w okruchach starych zbroi i zapleśniałych pargaminach, ani duma rodowa barona, pyszniącego się zasługami naddziadów, nie stłumiły w ich sercu wzrosłych uczuć i szlachetnych popędów.

We wszystkich dziełach swoich, Walterskot okazuje się zawsze człowiekiem uczciwym i sumiennym. Jako pisarz, roztaczał w koło siebie wpływ ożywczy i dobroczynny. Sekretarz któremu dyktował *Iwanhoe* razu jednego, przerwał mu pracę, uniesiony wdzięcznością. „Mistrzu! zawołał, dzięki ci za cudne obrazy, jakie nam ukazujesz. Młodzież mając je przed oczyma, nie zechce już karmić się trucizną, której drudzy dostarczają tak obficie!" Słysząc to Walterskott gorącemi zalał się łzami.

Później na krótko przed skonem, wyrzekł do zięcia swego:

— Słuchaj mnie, Lockhard, parę minut ledwie zostaje mi już do mówienia. Bądź człowiekiem uczciwym i religijnym: to jedno da ci nieomylną pociechę, kiedy będziesz w takim stanie, w jakim teraz mnie widzisz. Były to ostatnie jego słowa.

Byron szczery wielbiciel prac literackich Walterskota, cenił zarówno jego wzniosły charakter. Piękny dowód na to znajdujemy w liście do jednego z krytyków francuzkich.

„Znam oddawna Walterskota, mówi on, znam go dobrze, widziałem go w okolicznościach, pokazujących gruntowną wartość człowieka. Mogę też zapewnić że charakter jego zasługuje na najwyższe uwielbienie. Z ludzi jakich znam, to człowiek najszczerszy najzacniejszy, najmilczy. Co do opinii politycznych nie mam co mówić o nich, różnimy się krańcowo w tym względzie, Wiem tylko że Walterskott, gorliwy torys, szczerym jest w swoich opiniach, że nie służył nikomu: powtarzam, to człowiek najzacniejszy w świecie."

Profesor francuzki Taine w historyi literatury angielskiej, wysoko podnosi tak geniusz jak i charakter szkockiego mistrza, zowie go Homerem mieszczańskiej społeczności, twórcą powieści obyczajowej, protoplastą Bulwera, Dickensa, Thackeraya i innych powieściopisarzy angielskich.

Jeśli Walterskott porwał za sobą ziomków, i ukazał im nowe drogi, któż nie wie o ile wpływ jego oddziałał na literatury wszystkich europejskich ludów. Pod zaklętą rószczką tego czarodzieja, wytrysły dla potomnych zdroje rzeczywistości. Wielu niestety nadużyło tych krynic, dobywając same z nich męty. W tejże wodzie po której falach przepływał śnieżny łabędź z głową ku słońcu podniesioną, lęgą się na dnie obrzydliwe gady, roznoszące w koło zatruty miazmat. Nie wińmy Walterscota że ukazał nowy kierunek, że podniósł rzeczywistość do sztuki, jak to przed nim uczynił Rubens i inni mistrze szkoły fiamandzkiej; ubolewajmy tylko nad tymi, którym prawda przedstawia się wyłącznie ze strony szpetnej i skażonej, a którzy nie umieją dopatrzéć w niej promienistego ideału.

Zagadnienia na poddaszu.

That is the questeon.
Szekspir.

Na co zdały się marzenia,
Gdy na jawie bieda gniecie;
Gdy nadzieje i wierzenia,
Z bólu więdną w samym kwiecie?...

Po co w sercach dobre chęci,
Gdy nic ziścić się nie może;
Gdy nic uczuć nie uświęci,
A głód wiedzie na rozdroże!...

Na co myślom polot wielki,
Kiedy zakres życia ciasny:
Kiedy w nędzy pomysł wszelki
Zawsze smutny lub niejasny!...

Poco dusza szczęścia pragnie,
Gdy męczarnia jej udziałem;
Gdy jej czystość tonie w bagnie,
A to bagno życiem całem!...

Na cóż umysł zbyt się biedzi,
Gdy ciemnota wciąż się pleni;
Gdy ratunku nie wyśledzi,
A złej doli nie odmieni?...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

NIESZCZĘŚCIA PANNY ANNY.

OBRAZEK

przez

Waleryą Marrené.

W szarej pomroce jesiennego poranku, dwór wiejski w Lubowie przedstawiał ruch i gwar niezwykły. Ludzie snuli się po dziedzińcu, a przed domem stał powóz do którego pakowano rzeczy.

Czynność ta jednak widocznie była tutaj niezwykłą, bo wymagała wiele więcej czasu i przedstawiała trudności, niepojęte prawie dla dzisiejszych podróżników, którzy mając ku temu właściwe przyrządy, kufry i walizki, przerzucają się z jednego końca Europy na drugi.

Bo też Lubów była to wieś w głębi Sandomierskiego, oddalona od wszelkich kolei i środków komunikacyi, wieś śliczna, położona w głębi wąwozu, otoczona wieńcem drzew starych i karłowatemi gałęziami sadów, wieś maleńka a chlebna.

Nateraz jesień odebrała jej wiele powabów, zżółkłe liście gdzie niegdzie już tylko szeleściały na nagich konarach, a nad nimi kołysały się gro-

mady wron i kawek, czarnych ptaków zimy, które raz wraz spędzane wiatrem ze swoich siedzib krakały żałośnie.

Dwór w Lubowie był to także dwór stary, modrzewiowy, pamiętający zapewne długi szereg pokoleń, dzięki jednak pierwotnemu materyałowi z którego był zbudowany, stał prosto, filary ganku trzymały się krzepko, tylko dach trochę pogarbiony i mchem gdzieniegdzie obrosły, rysował nieregularne linie i załamki na szarym tle rozwidniającego się widnokręgu.

Mieszkańcy tego dworu widocznie byli ludźmi starego obyczaju, świadczyły o tem wszystkie szczegóły otaczające, w których ludzie malują się zwykle dokładnie.

Pod oknami były grzędy niewykwintnych kwiatów, smukłe malwy i georginie, których sterczały jeszcze zczerniałe łodygi, okiennice proste nie pomalowane miały wycięte serca, przez które jaskrawo biły, pozapalane światła. Niektóre były pootwierane a przez spotniałe szyby można było rozpoznać ogień, buchający na kominku i snujące się po pokoju postacie. Widocznie wybierano się w drogę jakąś. Dlatego to wytoczono z wozowni powóz starego kształtu i krzątano się, tak rano w całym dworze, bo nawet w kuchni, pomieszczonej w oficynie, błyskał suty ogień.

Pora przecież nie była do podróży zachęcającą. Całe niebo zalegały całunem ołowiane chmury, pod któremi zaledwie widoczną była żółtawa smuga na wschodzie, świadcząca o blizkiem zjawieniu się gwiazdy dziennej. Deszcz pędzony wiatrem, siekł o szyby, a ziemia czarna błotnista, zachowywała głębokie koleje, wyciśnięte kołami lub ślady stóp ludzkich i końskich kopyt.

Wewnątrz dworu pomimo wesołego trzasku płomienia, twarze wszystkie kyły zasępione, jak gdyby padał na nie cień smutnego, szarego, listopadowego poranku.

Przy kominku siedziała stara kobieta, o pogodnych rysach, które świadczyły że życie jej przeszło cicho i bez burzy, że nie zaznała ani walk ani trosk palących, ale spokojnie dzień po dniu szła utartą drogą, od kolebki do mogiły, wśród zwykłych radości i cierpień życia. Wzrok jej nie wybiegał z pewnością, nigdy po za horyzont tej wioski nie zapragnęła nic więcej nad to co jej los przyniósł. Chęci jej, zabiegi, nadzieje obracały się w szczupłem kole domowych i rodzinnych zdarzeń. A teraz siedziała smutna i zdziwiona, jak gdyby ugodził ją cios jakiś niespodziewany.

Po pokoju przechadzał się wielkim krokiem niemłody mężczyzna, pan domu niezawodnie, bo do niego odnoszono się z tysiącem drobnych rozporządzeń spowodowanych każdą zmianą nawyknień.

Na jego twarzy także zacnej i poczciwej, leżał frasunek ciężki. Spoglądał z widocznem nieukontentowaniem na przygotowania podróży, i na cały niezwykły ruch dworku, a rozkazy wychodzące z ust jego wydawane były szorstkim głosem, który bywa często u prostych natur oznaką smutku.

Na stole stał samowar, z kuchni przyniesiono dymiący półmisek ale z obecnych nikt do śniadania nie okazywał chęci, z głębi domu zaś odzywały się w dalszych pokojach wołania i kroki, świadczące że wyjazd nie był rzeczą łatwą do uskutecznienia.

Pan domu spoglądał czas jakiś w milczeniu na stygnące śniadanie aż wreszcie skierował kroki ku drzwiom w głębi i zawołał:

— Żono, Anulko! Anulko! a cóż czy nigdy nie skończycie tego marudztwa?

— Zaraz! zaraz! odpowiedziały głosy.

Upłynęła jednak chwilka a nikt nie przychodził tylko nawoływanie i bieganie było coraz głośniejsze.

— Ostygnie śniadanie, wyrzekła wówczas stara kobieta, która po kilka razy spoglądała z niezadowoleniem na stół zastawiony.

Pan domu zaklął pocichu i znowu zawołał, zwracając się do nieobecnych z odcieniem wyższego stopnia niecierpliwości.

— Żono, Anulko! wszystko wam ostygnie.

— Zaraz zaraz, odezwano się znowu.

I znowu upłynęła chwilka czasu a nikt nie przychodził.

Gospodarz tymczasem chodził dalej na około pokoju, ale można było sądzić, że zapomniał zupełnie o śniadaniu, przygnieciony jakąś ważniejszą troską. Głowa opadła mu na piersi, szpakowate wąsy obwisły a zasępiony wzrok zdawał się nie widzieć otaczających przedmiotów, jak gdyby zasłoniły je smutne obrazy czy przewidzenia.

Samowar syczał smętnie, półmiski nie wydawały już słupów pary, nawet ogień na kominku przygasał zwolna, a szary blask smutnego dnia jesieni, wciskał się przez zapocone szyby i kłócił z żółtym światłem lampy.

W tej chwili, weszła szybkim krokiem do pokoju, młoda dziewczyna, w podróżnem ubraniu. Weszła gorączkowo, z gwałtownemi rumieńcami na twarzy, które świadczyły może o pośpiechu, może o łzach, może o wewnętrznem wzburzeniu.

Pobiegła naprzód do babki, przyklękła przy jej nogach, i całowała ręce jej na kolanach złożone. Potem zwróciła się do ojca, stanęła przed nim zatrzymała go wśród niespokojnej wędrówki po pokoju, położyła mu rączki na ramionach i wspiąwszy się na paluszki, spoglądała trwożnie pytająco a miłośnie w jego oczy, jakby samem spojrzeniem odżegnać chciała smutek z jego czoła i wywołać uśmiech na usta.

Ale wzrok ojcowski chmurnym pozostał a nawet po chwili, może niechcąc dać folgę miększym uczuciom które ona zdawała się wywoływać koniecznie, odwrócił głowę od twarzy dziewczęcia.

— Idź jeść bo ci wszystko ostygnie, wyrzekł głosem który silił się na obojętność, a nad którego drżeniem przecież zapanować w zupełności nie był w stanie.

Chciała coś odpowiedzieć, różowe wargi zadrgały słowem zaczętem, ale nie wymówiły go. Odeszła w milczeniu do stołu, niepewną ręką nalała sobie herbaty i pochyliła głowę nad filiżanką. Jednakże ani piła ani jadła, kilka razy spojrzała w okno, przez które widać było coraz wyraźniej jak zakładano konie do powozu, kilka razy podniosła rękę do czoła, jakby chciała odsunąć natrętne myśli, lub może otrzeć nieznacznie łzy które cisnęły jej się do oczów.

Tymczasem weszła i matka jej do pokoju i także w milczeniu usiadła przed zastawionym stołem na którym wszystko pozostało nietknięte. Rozjaśniało się też na dworze a konie zarżały przed gankiem.

— No! wyrzekł wreszcie pan domu, jakby zbudzony z zadumy swojej tem rżeniem, skoro koniecznie jechać chcecie to jedźcie, droga zła i daleka.

Dwie kobiety powstały w jednej chwili, jakby na to czekały, pośpiesznie zaczęły kłaść na siebie futra, kapelusze, chusteczki i wszystkie przybory zimowej podróży. Starsza czyniła to automatycznie, młoda z gorączkowym pośpiechem, jaki charakteryzował wszystkie jej ruchy dnia tego.

Potem raz jeszcze schyliła się do rąk babki i podeszła do ojca który żegnał ją w milczeniu.

— Mój ojcze, rzekła stłumionym głosem, czyż nie powiesz mi nic, chociażby jednego słowa zachęty czy przestrogi.

Wzruszył gniewnie ramionami.

— Na cóż ci moje słowa. Wbrew obyczaju porzucasz dom rodzicielski by szukać na świecie walki pracy i tego wszystkiego czego nie szukała ani babka ani matka twoja, ani nie szukają siostry. Ja nie pochwalam twojego zamiaru, nie pochwala go świat. Uparłaś się jednak, nie mam prawa cię krępować, chcesz koniecznie, więc matka odwozi cię do Warszawy, tam możesz się nauczyć szewctwa, krawiectwa, kwiaciarstwa albo czego tam ci przyjdzie do głowy, tracić czas i pieniądze jak ci się podoba i narażać się na śmiech ludzki.

— Oh! szepnęła załamując ręce, nie chciałabym wam sprawiać przykrości, pragnęłabym być tylko pociechą i szczęściem waszem.

— To bardzo łatwo, zostań z nami.

— Ale ja muszę przecież być czemkolwiek na świecie, ja nie chcę być dzisiaj ciężarem ani wam ani sobie. Ja wiem że tu potrzeba wiele.

— Chleba ci ani sukni nie brakuje, odparł zapalając się ojciec, i póki mnie stanie, nie zabraknie ich pewnie.

Podniosła na niego oczy łzawe i rozumne, ale w których błyszczało postanowienie silne.

— Ojcze, wyrzekła błagalnie, dlaczegoż jabym wam pomagać nie mogła, jestem najstarszą z rodzeństwa, mam zdrowie i odwagę, starszy brat na technologii w Petersburgu, młodsi w szkołach, Mania uczy najmłodsze siostrzyczki, Mama i Babcia gospodarują, a ja...

Była gorąca miłość i prośba w tych słowach, ale nie zawierały one tego czego on pragnął, więc wyrzekł:

— Wiadoma rzecz iż wam kobietom zawsze się czegoś zachciewa, dawniej.. no, dawniej panny pragnęły zabaw, strojów, balów, podróży, dziś to nie wystarcza, trzeba wam czegoś nowego, a wszystko równie niedorzeczne. Dziś weszły wam w głowę jakieś nowe wymysły i szarpiecie się do tego, do czegoby was gwałtem nie napędził, gdyby pomysł wyszedł od kogo innego.

Zamilkła. Bo i pocóż wszczynała daremnie ten przedmiot niewyczerpany nigdy i wiecznie bolesny. Wszakże wiedziała że go nie przekona ani słowem ani prośbą, wszakże powiedziała sobie sto razy, że potrzeba na to czynów, faktów.

A tymczasem pan domu mówił dalej, gniewny i zasępiony:

— Daremnie, na upór nie ma lekarstwa.

Upór. Czyż był to upór z jej strony. Czy ażeby powziąć ostateczne postanowienie, nie musiała staczać walk krwawych z własnem sercem, czy nie powzięła je patrząc na ciężką pracę ojca, na zabiegi matki, którzy potrzebom licznej rodziny zaledwie mogli zadość uczynić. Czyż nieraz nie pomyślała z drżeniem o przyszłości, nie cierpiała nad bezsilnem kochaniem swojem, dla tych co ją otaczali. Czyż teraz nie rwała się cała jej istność w chwili rozstania z tym cichym dworkiem, gdzie upłynęło całe jej życie, z rodziną z którą wiązał ją łańcuch miłości, czci i nawyknienia, czyż świat ku któremu wydzierać się musiała, nie przejmował ją dreszczem trwogi? Czyż na tę ciężką daleką podróż, na ten pobyt pomiędzy obcemi nie potrzeba jej było ciepłego słowa zachęty, czyż miała opuszczać dom rodzicielski, ze zwątpieniem w sercu, złamana już naprzód tu przebytą walką? Dola ta wydała jej się ciężką podwójnie.

Nie odpowiedziała już słowa jednego, łzy wstrzymywane, gwałtem głos jej dusiły. Pochwyciła tylko rękę ojca, wycisnęła na niej gorący pocałunek, uścisnęła z kolei rodzeństwo, i wsiadła do powozu za matką, która czyniła to jak ofiara jej dziwacznego kaprysu.

Woźnica raz jeszcze obejrzał pakunek, siadł na kozioł, klasnął z bicza i powóz potoczył się zrazu raźno, potem coraz wolniej, po czarnej błotnistej drodze.

Póki można było widzieć jeszcze oświetlone okna i dym unoszący się nad kominami dworku, Anna wychylała się z powozu ażeby nie stracić go z oczów, dopiero gdy mgła wilgotna zatarła jego kontury, rzuciła się w róg powozu usiłując stłumić łkanie, gwałtem wyrywające jej się z piersi.

Matka spoglądała na to czas jakiś w smutnem milczeniu, jakby gniewna, jakby obrażona na córkę, aż wreszcie gniew jej stopił się w żalu.

— Anulko, wyrzekła, czego płaczesz?

Dziewczyna wstrząsnęła głową, nie była wstanie odpowiedzieć.

— Anulko, wszakże sama tego chciałaś.

Potrzebowała koniecznie zdobyć sobie choć jedno przekonanie.

— Mamo, wyrzekła wszakże wiesz dobrze iż to jest koniecznością, majątku nie mamy, posagu nie dostanę, za mąż nie wyjdę...

— Gdybyś chciała tylko, przerwała matka, pan Kalasanty...

— Nie chcę, nie chcę pana Kalasantego, zawołała rozgorączkowana, otrząsając się z miększych uczuć. Ty mamo wiesz dobrze iż ja za niego wyjść nie mogę.

Kobieta przez długą chwilę patrzała na córkę, potem wyrzekła z rodzajem rezygnacyi.

— Ha! nie chcesz Anulko, inna na twojem miejscu poszłaby za niego z radością; ale ty nie chcesz, cóż robić, wprawdzie nie młody, nie piękny, trochę oszczędny, to też ma doskonałą wieś. Nie namawialiśmy cię, przecież to dobra partya. Cóż chcesz, świat nie jest sielanką, a życie jest trudne, bardzo trudne.

Westchnęła mówiąc to, a owo westchnienie stanowiło dosadny komentarz do słów i było ich dopełnieniem.

Wspomnienie odrzuconego zalotnika podziałało na Annę, osuszyło jej łzy i nadało nową siłę.

— Życie jest trudne powtórzyła zdeterminacyą wiem o tem, i walczyć z niem będę zaręczam, dopóki nie zdobędę sobie niezależności materyalnej, której przecież nie dałoby mi małżeństwo z panem Kalasantym.

Ale matka nie dodała jej otuchy zachęcającem słowem, może lepiej znała trudności z jakiemi córka spotykać się miała, może uważała jej zamiary samodzielnej pracy za mrzonkę i czuła się w obowiązku raz jeszcze powtórzyć jej wszystko co do owej chwili mówiła jej ciągle, że marzeniem każdej matki jest tylko szczęście dzieci, że szczęście nie istnieje bez materyalnego spokoju, że dostatek daje tysiące przyjemności, a pan Kalasanty zapewniłby go żonie, że odrzucając jego rękę postąpiła wprawdzie zgodnie ze swojem sercem, ale też i bardzo egoistycznie. Ona przecież nie wymagała od dzieci swoich, poświęceń, przeciwnie sama nieustannie poświęcała się dla nich, jednakże Anna odrzucając ten związek postąpiła bezmiłosiernie, unieszczęśliwiła rodziców a matkę zwłaszcza pogrążyła w rozpaczy. To wszystko Anna słyszała już po tysiąc razy, i był to niezawodnie jeden z głównych powodów, który niepewne marzenia samodzielnej pracy w krok stanowczy wyjazdu zamienił.

Droga prowadziła właśnie przez wieś pana Kalasantego, wieś zamożną o wielkich gumnach, murowanych spichrzach, ze stertami rozrzuconemi po polu, które świadczyły o bogatym plonie.

Matka spoglądała na nie z westchnieniem, córka milczała. Słowa które jej mówiono nie były takie jakie usłyszeć pragnęła, nie zawierały zachęty ni siły wytrwania, daremnie by więc zwierzała się z tęsknot lub trwóg swoich, trzeba jej było zamknąć je w sobie, milczeć i z piersią starganą walką przebytą, walką najcięższą, bo walką z ukochanymi, wchodzić już znużoną w szranki życia, by łamać się dalej, łamać ciągle, łamać nieustannie.

Na zakręcie drogi, spotkali pana Kalasantego, który konno objeżdżał swoje gospodarstwo. Poznał on zdaleka kto jechał i mijając powóz skłonił się paniom z uśmiechem, który się wydał Annie szyderczym.

Uśmiech ten była to dla niej ostatnia kropla goryczy. Narzekanie matki, surowy smutek ojca, szyderstwo ludzkie, to było wszystko co wynosiła z sobą z rodzinnego domu. I przyszło jej na myśl to co w razie rozterki ze światem przychodzi zawsze na myśl istotom szczerym i szlachetnym, zapytała samej siebie, czy wszyscy nie mieli słuszności przeciwko niej, czy nie była szaloną? Czy cel do którego dążyła całą siłą pragnień młodzieńczych, nie był mrzonką niedoścignioną. Wszakże gdy brat jej skończył szkoły, gdy opuszczał także dworek ojcowski jadąc w dalekie strony ażeby później utorować sobie drogę na świecie, żegnały go uśmiechy przyjazne i słowa zachęty, a jeśli kto zabolał w chwili pożegnania nikt zatrzymywać go nie myślał. Wchodził w życie uzbrojony błogosławieństwem, radą i życzeniem ukochanych. Jakże on był szczęśliwy! Dla czegóż z nią było inaczej?

Anna nie zazdrościła nikomu, nie pojmowała zazdrości, przeciwnie radowała się każdem powodzeniem cudzem, jakie jej się widzieć zdarzyło, przecież musiała znowu zadać sobie to pytanie zawsze nierozwiązane, dlaczego dola jej tak była odmienną?

I droga odbywała się smutnie, bo młoda dziewczyna była zmordowaną zanim walka nastała i traciła powoli wiarę w samą siebie.

Wieczór zimowy zapadał nad Warszawą, śnieżna zamieć szalała po ulicach miasta, młoda kobieta otulona skromnem futerkiem, dążyła szybkim krokiem Nowym Światem.

Doszła do rogu ślizgając się po obmarzłych kamieniach, potrącana falą ludzką i skręciła na wązką Chmielną ulicę; ale krok jej był niespokojny, oglądała się z rodzajem przestrachu za każdym przechodniem, przyciskała się do muru skoro ujrzała kogoś na przeciw siebie idącego; wówczas serce jej uderzało tak silnie iż zabijało jej oddech w piersiach.

Im ciemniej było na ulicach tem ona prędzej postępowała, gnana widocznie trwogą jakąś, tak iż pomimo zimna kropelki potu występowały jej na czoło.

Nikt przecież nie zważał na nią, przechodnie zasłonięci od zimna szalami i kołnierzami futer, śpieszyli gdzie ich wzywał jakiś konieczny interes i nie zabawiali się bynajmniej śledzeniem niczyich kroków.

Pomimo to przerażona ciemnością, osamotnieniem przechodniami może, biegła prawie aż dopadła bramy domu, przy ulicy Chmielnej i skręciła na wschody jakby ją kto gonił. Tutaj zatrzymała się nagle, wschody były prawie zupełnie ciemne, ale na nich słychać było wyraźne szczekanie psa, a nawet sądząc z dźwięku, szczekanie to wydawał potężny brytan.

Kobieta oparła się o poręcz wschodów cała drżąca, nie śmiała iść na górę, lękała się tu pozostać, bo zdawało się że szczekanie się zbliża. Chciała cofnąć się, uciekać, ale straszyła ją ulica.

Kiedy tak stała wpół martwa, szczekanie psa a nawet bieg jego na wschodach był coraz wyraźniejszy, coraz bliższy, aż wyskoczył z nich ogromny buldog pręgowaty jak tygrys i prosto sunął ku niej. Kobieta krzyknęła przeraźliwie, i rzuciła się w tył, gdy tymczasem pies pochwycił zębami jej suknię.

Szczęściem za psem schodził jakiś młody człowiek otulony kosztownem futrem z czapeczką futrzaną nasuniętą na czoło tak że tylko można było widzieć parę wesołych niebieskich oczów i miękkie złociste wąsy. Schodził leniwo z obojętnością wielką, przecież na widok przestraszonej kobiety i wojowniczego usposobienia buldoga zaczął wołać:

— Neron tu, Neron puszczaj, Neron tu!

Neron jednak nie należał do wzorowie posłusznych psów, miał także swoją wolę, i niewiele zważając na te rozkazy targał dalej futro które trzymał w zaciśniętych zębach, tak iż kobieta byłaby upadła gdyby właściciel psa, niebieskich oczów i złocistych wąsów, nie przyskoczył do niej z żywością, której trudno się było spodziewać po ociężałości ruchów, i uderzając po głowie buldoga laską trzymaną w ręku, nie zmusił go do puszczenia swojej zdobyczy.

Neron upokorzony tą doraźną sprawiedliwością skowycząc czołgał się u nóg pana, który nie ułagodzony tem wcale, podnosił laskę z wyrazem gniewu, gdy uwaga jego odwróciła się od psa do napastowanej przez niego kobiety. Blizka zemdlenia oparła się plecami o ścianę niezdolna kroku na przód postąpić.

Światło gazu które zapalono w tej chwili na wschodach, padło teraz w pełni na jej twarz i ukazało młode lica, czoło śmiertelnie blade i wielkie oczy, w których na długich rzęsach migotały łzy przestrachu.

— Czyś pani skaleczona? zawołał niespokojnie podtrzymując ją troskliwym ruchem.

Głos jego miał w tej chwili brzmienie pełne słodyczy i wpadł jej w ucho jak muzyka. Nie odpowiedziała nic, myśli jej były żmącone, słuchała dalej.

A on w miarę jak bliżej wpatrywał się w jej rysy, mówił coraz łagodniej, coraz tkliwiej.

— Mów pani, co trzeba zrobić i oprzyj się na mnie.

I rzucając zdala od siebie laskę, którą karcił Nerona, usiłował opasać ramieniem jej kibić i stać się jej podporą, a czynił to z jakąś miękką przemocą, która na razie odebrała jej zupełnie myśl oporu. Przymknęła oczy i przez chwilę bezwładna główka spoczęła na jego ramieniu.

Natychmiast jednak powróciło jej poczucie rzeczywistości, otrząsnęła się razem z trwogi i omdlenia, podniosła powieki, spotkała oczy jego w siebie wlepione, i oblana gorącym rumieńcem odsunęła się szybko szepcząc:

— Dziękuję panu, przelękłam się tylko, to przejdzie.

Ale pomimo zapewnienia tego drżała jeszcze całem ciałem, tak iż musiała znowu oprzéć się o ścianę.

— Dzięki Bogu, Neron tylko nastraszył panią! nie prawdaż? Szkaradny Neron!

Groźny imiennik rzymskiego cezara, słysząc wymówione swoje nazwisko, przyczołgał się do pana i skowyczał patrząc mu w oczy błagalnie jak to psy czynić umieją, skoro poczuwają się do winy.

— Nic mi nie jest, powtórzyła, poprawiając kapelusz i chusteczkę które zsunęły jej się z głowy, patrząc nieufnie na ukorzonego Nerona. Ale dlaczegóż pan trzymasz tak strasznego psa?

Młody człowiek uśmiechnął się.

— Neron wcale nie straszny, trzeba go tylko bliżej poznać, jest posłuszny jak dziecko. Zobaczy pani.

I zrobił nakazujący gest, którego pies usłuchał tym razem kładąc się spokojnie na boku.

— Leżeć! ani się ruszyć! mówił dalej młody człowiek. A potem zwracając się do kobiety zapytał. Pani mieszkasz tutaj?

— Tak panie, odparła kierując się ku wschodom i oglądając jeszcze trwożnie na Nerona.

— Niech pani będzie spokojna, on się nie ruszy. Zresztą nie pozwolę byś pani poszła sama, drżysz cała.

Podawał jej ramię i ona machinalnie wsparła się na nim. Rzeczywiście czuła się osłabioną a groźne mruczenie Nerona, które było zapewne już tylko aktem skruchy z jego strony, przejmowało ją jeszcze niewypowiedzianą trwogą. Szli po wschodach, on nachylony ku niej, ona odurzona tem wszystkiem co zaszło, z sercem bijącem, które pomimo że już nie potrzebowała się lękać, nie przestawało uderzać gwałtownie. Czuła na sobie jego oczy i płoniła się pod tym wzrokiem niby pod różowemi promieniami zachodzącego słońca.

— Na którem piętrze pani mieszkasz? zapytał, widząc że nie zatrzymując się szła dalej.

— Na trzeciem, szepnęła.

Skrzywił się lekko jak człowiek który nie lubi się męczyć i nie potrzebował nigdy tak wysoko wstępować. Ale to skrzywienie szybko zeszło mu z twarzy.

— Pani mieszkasz sama? zapytał jeszcze zwalniając kroku w miarę jak podnosili się wyżej.

— Nie, nie sama, odparła, uderzona myślą iż towarzystwo w jakiem powraca, może się wydać dziwnem i niestosownem rodzinie przy której matka ją umieściła.

I zatrzymała się nagle.

— Dziękuję panu, wyrzekła pośpiesznie, niech się pan nie trudzi, już mi zupełnie dobrze, a Neron został na dole.

Wbrew jej przypuszczeniu nie nalegał wcale i zatrzymał się na drugiem piętrze, tylko żegnając ją powiedział:

— A więc nie pozostaje mi jak przeprosić panią jeszcze za przestrach, jakiego pies mój stał się powodem.

Skłoniła mu się wdzięcznie z uśmiechem który dowodził wyraźnie, iż przebaczenie już uzyskanem było.

Ale on na tem nie poprzestał i widząc że dom cały pogrążony był w ciszy, zbliżył się do niej jeszcze i wyrzekł.

— Więc się pani na mnie nie gniewasz?

I oczy jego wyraziste, spoczywały na niej pełne frasunku.

— Za cóżbym się gniewać miała? Przeciwnie, pan byłeś dobrym dla mnie, bardzo dobrym.

Skinął niedbale jakby chcąc jej przerwać te słowa, które przecież sam wywołał.

— Wszak pani codzień wychodzisz nieprawdaż? zapytał.

— Tak jest, odparła bez namysłu, uczę się rękawicznictwa.

Słowa te wywołały na jego usta wesoły uśmiech zadowolenia, który rozpromienił niebieskie oczy i roztworzył malinowe usta.

— Gdyby mi się jeszcze udało, dowiedzieć się imienia pani, wyrzekł.

A widząc że milczała, dodał szybko.

— Sprobuję odgadnąć, rodzice muszą panią nazywać: Marynią, Zosią, Andzią.

Wymawiając każde z tych imion zatrzymywał się chwilę, śledząc na jej twarzy wywołane wrażenie. Aż kiedy powiedział ostatnie dostrzegł że się uśmiechnęła.

— Andzia, Andzia, zawołał, wszak odgadłem zaraz.

— Zkądże pan to wiesz, wyrzekła zdziwiona nie pojmując że zdradziła się sama.

On też nie tłomaczył jej tego, przybrał tajemniczą minę i mówił dalej:

— Gdybyśmy się spotkali po raz drugi, nie przestraszysz się panno Anno. Przyrzecz mi to, a ja ze swojej strony, zostawię w domu Nerona.

Chciała coś odpowiedzieć, ale na to nie czekał, drzwi jakieś skrzypnęły i on zbiegł szybko ze wschodów, pogwizdując jakąś wesołą nutę.

Anna słyszała jak zbiegł aż na dół, usłyszała wesołe szczeknięcie Nerona i stała zamyślona przez czas jakiś. Dopiero gdy odgłos kroków już zginął w oddaleniu poszła zwolna na górę.

Tutaj od dalekich krewnych, matka odnajęła dla niej pokoik, tutaj miała zapewnione potrzeby życia i opiekę stosowną. Krewni, ludzie niemłodzi należeli do tych przeciętnych indywidualności, które właściwie nie odznaczają się niczem i przedstawiają zwykły poziom intelligencyi, mają powszechnie przyjęte pojęcie i idee będące w codziennym obiegu. Anna znalazła przy nich to, co świat zowie przyzwoitą opieką, ale nikogo coby mógł wywierać na nią wpływ jaki, komuby zwierzyć się mogła ze swych zamiarów i pragnień, znaleźć radę i kierunek.

W głębi miast wielkich, istnieje tak samo, jak i w głębi zapadłych prowincyi, pełno umysłowych zaścianków, tem smutniejszych, tem bardziej nieuleczalnych, że będąc w chwilowem zetknięciu z cywilizacyą, opierają jej się właściwościami swojej natury opornej światłu każdemu.

Są umysły dotknięte ciasnotą, które lękają się wszelkich szerszych horyzontów, których nawyknienia, zajęcia, krąg myśli, zamknięty jest w pewnych niczem nieprzekroczonych szrankach. Umysły te nigdy nic nie zakwestyonowały na świecie, badanie jest dla nich wstrętne i rzecz każda przez to samo że jest, wydaje się bez zarzutu.

Taki był dom w którym mieszkała Anna, dom bezdzietny, więc nawet za młodem pokoleniem nie otworzyła się tu szparka żadna, którąby mógł się wcisnąć jaki bądź powiew dziewiętnastego wieku. Mąż pan Anzelm spędził całe życie pochylony nad zielonym stolikiem, jako jedna z nic nieznaczących sprężyn biurowej machiny i z włożonych na siebie obowiązków wywiązywał się zawsze wzorowo, ale w jakim stosunku pozostawały jego czynności względnie do całej administracyi, to już przechodziło nie tylko jego atrybuta ale i zakres myśli, o to nie zakłopotał się nigdy.

Regularnie jak zegarek wstawał, pił kawę, szedł do biura, jadł pasztecik w przeciwległej cukierni o pierwszej godzinie, o trzeciej opuszczał biuro, o kwadrans na czwartą wchodził do swego mieszkania i oglądał się, czy waza stała na stole, a jeśli przypadkiem zdarzyła się jaka zwłoka, biada było jego małżonce. Pan Anzelm trzaskał drzwiami z całych sił na znak swego monarszego niezadowolenia i zamykał się w ponurem milczeniu, które jednak dla tych co znali go dobrze równało się owej ciszy przedburznej, poprzedzającej w naturze wichry i gromy.

(d. c. n.)

HISTORYA KORONKI.

NOWELLA

przez

J. W. LOVERGNE

(tłomaczona z francuzkiego)

przez

Natalją Dzierżek.

I.

Służący hrabiego de Wallers kończyli właśnie przyprowadzenie do porządku ogromnego salonu w jego pałacu, przygotowując go do licznego zebrania. Wspaniałe meble, klawikord, i arfa złocona, odbijały się w wysokich zwierciadłach i błyszczącej posadzce. Okna były otwarte, a świeże wiosenne powietrze łącząc się z ciepłem pochodzącem z kominka na którym się paliły pęki drzewa, tworzyło we wnętrzu tego mieszkania prawdziwie włoską temperaturę.

Niczego już nie brakło do przybrania salonu oprócz kwiatów, które właśnie ogrodnik Bernard poprzedzony swemi pomocnikami, wnosił na terassę, w kilku koszach napełnionych gotowemi bukietami.

Dwie pokojówki zajęły się układaniem ich w naczynia z Sewrskiej porcelany, które ozdabiały kon sole i rogi pokoju przerywając niekiedy swe zajęcie spojrzeniem rzuconem niby od niechcenia w zwierciadło, lub też staczając z sobą małe sprzeczki.

Obie były młode i ładne, a ich figlarne minki, których wdzięk podnosiły czarne muszki i wiśniowe wstążki, nie psuły wcale wyszukanej elegancyi salonu z 1770 roku.

— Nie wiem doprawdy, mówiła Liza, co sobie myśli ten Bernard, żeby tyle narcyzów włożyć w bukiety! Panienka dostanie jutro migreny, i Bóg wie ile kłopotu mieć będziemy. Gdybym też ja wyjęła te kwiaty?

— Nie radzę ci tego, odrzekła Marta, panienka sama dawała ogrodnikowi rozkazy, gdyby więc spostrzegła że brakuje narcyzów, z pewnością dostałabyś od niej naganę.

— Otóż skończyłyśmy! Bardzo pięknie wygląda teraz salon.

— Ale trzeba mi spieszyć, idę zaczesać panienkę.

— Szczęściem dla mnie twoja dziś kolej, rzekła Liza, a ja tymczasem wybiegnę do ogrodu, by się trochę zabawić. I mówiąc to, jedną nogą stanęła już na terasie, gdy wchodząca w tej chwili panna Wallers ze swą ochmistrzynią, przywołała ją do siebie.

— Lizo! rzekła, idź uprzątnij mój pokój, i poukładaj w szufladach to wszystko com ja przed chwilą rozrzuciła na dywanie.

— Już uprzątnęłam pokój panienki, odparła Liza.

— A jam znów wszystko rozrzuciła, szukając mego zaręczynowego pierścionka, który był u mnie w kieszeni. Idź Lizo, będziesz tam miała zajęcie na kilka godzin. Ty zaś Marto chodź mnie zaczesać, wyjmij tylko pierwej te hiacynty różowe, a włóż natomiast ten bukiet niebieski, otwórz mój klawikord, i połóż nań kajet z sonatą, ale nie na wywrót jak ci się to kiedyś zdarzyło. Posuń trochę arfę. Tak, teraz dobrze. Rzeczywiście że hiacynty ładniej tu wyglądały niż te kwiaty, włóż je znowu na miejsce. Wyjm tego tulipana. Przybliż ekran do kominka. O mój Boże! jakże mnie męczy ten ruch w całym domu. A teraz moja droga, rzekła zwracając się do towarzyszki, przeczytaj mi co nauczającego, nim mnie Marta zaczesze. Spieszmy się, całe towarzystwo się zbierze około piątej godziny, zaledwie mi więc czasu na ubranie wystarczy.

Młoda dziedziczka udała się do swego buduaru, gdzie owinięta batystowym negliżem, usiadła przed zwierciadłem, uśmiechając się do wdzięcznego obrazka który miała przed sobą.

Bo też Flora de Wallers była prześliczną, jej delikatne rysy, duże czarne oczy, mały nosek à la Roxolane, i jasne kręcące się włosy, stanowiły typ piękności, najwięcej poszukiwanej w owym czasie. Była ona jedynaczką ukochaną przez ojca, i nie znającą żadnego oporu w wykonywaniu swej woli. Dobra była z natury, pragnęła by wszyscy dokoła niej byli szczęśliwi, ale z warunkiem by to w niczem nie krępowało jej zachceń ktore jednakże zamykały się w dosyć ciasnym obrębie. Życie jej przechodziło na strojeniu się jedynie a to upodobanie odziedziczyła po matce. Hrabina de Wallers bowiem tak bardzo lubiła stroje, że cytowano w niej jeden rys prawie niepodobny do uwierzenia. W dniu który był już ostatnim w jej życiu, przyjąwszy ostatnie sakramenta i pożegnawszy męża córkę, żądała by ją zostawiono sam na sam z ulubioną jej pokojówką, a gdy uczyniono zadość jej woli, rzekła pani Wallers:

— Przysięgnij mi że wypełnisz mój rozkaz!

A gdy otrzymała solenne zapewnienie, mówiła dalej:

— Gdy umrę ubierzesz mię w suknię z lamy w morderowe pasy, oszytej koronką, i białe rękawiczki, zaczeszesz mię i narużujesz.

Przerażona pokojówka myśląc że pani jej w gorączce, przywołała doktora; hrabina przy nim powtórzyła swój rozkaz i w parę godzin później żyć przestała.

Służąca wykonała ostatnią wolę zmarłej.

W testamencie swym pani Wallers pisała:

„Jeżeli Dorota spełni moją ostatnią wolę, to przeznaczam dla niej o dwieście liwrów więcej dożywotniej pensyi niż wszystkim innym moim służącym."

Flora miała lat sześć gdy straciła matkę, lecz i wtedy już namiętnie lubiła stroje i prędzejby się wyrzekła swego podwieczorku, jak kawałka wstążki. Ani klasztorne wychowanie, ani uwagi ojca, nie mogły wykorzenić w niej tego zamiłowania. Z powodu swej piękności i wielkiego majątku, miała już wielu starających się o swą rękę; wybór ojca padł na markiza de Mareniz, jednego z najdzielniejszych oficerów królewskiej marynarki, a odtąd piękna Flora nie myślała już o niczem innem prócz przygotowań do wyprawy, i bogatych strojów.

Ślub miał się odbyć w sierpniu, a chociaż był to kwiecień dopiero, czas zdawał się jej jeszcze zbyt krótkim, na ukończenie różnego rodzaju ubiorów które mieć pragnęła.

Ochmistrzyni wzięła książkę do ręki, i poraz szósty czy siódmy zaczęła czytać ze środka, pierwszy rozdział historyi Francyi, ale jak zwykle młoda panna przerwała jej we trzy minuty.

— Moja droga, rzekła, zdaje mi się że możemy się zająć czem lepszem jak historyą Merowingów. Wszak jeszcze tyle rzeczy nie zostało postanowionych. Czem naprzykład oszytą będzie moja ślubna suknia, czy przetykana srebrem czy też Bruselską koronką, lub też Wallencienką?

— Ależ zdaje mi się, odrzekła ochmistrzyni, że nie ma się w czem wahać, jeszcze matka twoja zaradziła temu.

— Jakim sposobem? zapytała Flora.

— Jakto więc nic nie wiesz o tem? rzekła ochmistrzyni, wszakże gdyś tylko przyszła na świat matka zajęła się twym ślubnym strojem, i zostawiła u najlepszego rysownika w Walenciennie wzór do prześlicznej koronki. Koronka ta zaczętą została w rok po twem urodzeniu, i wkrótce już zapewne ukończoną zostanie.

— Jakto? piętnaście lat dla zrobienia koronki, to nie do uwierzenia, zawołała Flora, to chyba bajka. Pójdę zapytać ojca czy rzeczywiście jest tak jak mówisz.

— Pan hrabia powtórzy ci to samo coś przed chwilą usłyszała ode mnie. Od lat piętnastu płaci on umówioną sumę, na rachunek tego co się po ukończeniu należeć będzie. Jedna tylko robotnica pracuje nad nią, niczem się innem nie zajmując. Mówią że koronka ta jest zachwycającą. Co do mnie, nie widziałam jej nigdy.

— Chcę ją widzieć w tej chwili! zawołała Flora niech mi ją natychmiast przyniosą.

— To jest zupełnem niepodobieństwem, i żadna pracownica na to się nie zgodzi. Ani jeden kwadrat koronki, nie może być bezkarnie dotkniętym. Wrzeciona by się pomieszały, nici pozrywały i cała praca zostałaby zniszczoną. Jeśli więc zechcesz zobaczyć swą koronkę, musisz sama do Walenciennes pojechać.

— Każcie założyć konie, za godzinę tam będę, rzekła Flora.

— Ależ pani zapomina że się spodziewa dziś gości.

— Teraz południe, za trzy godziny powrócę, dwie godziny wystarczą mi na ubranie. Flora zadzwoniła, i dała rozkaz woźnicy by zakładał konie, a sama zarzuciwszy różowy atłasowy kapturek na wpół dopiero z uczesaną głową, wybiegła szybko na ganek, gdzie niecierpliwie tupała nóżkami, nim jej leciuchny powozik razem z nią i towarzyszącą jej ochmistrzynią, potoczył się szybko drogą wiodącą do Walenciennes.

II.

W jednym z lochów którego kamienne wschody wychodziły na ulicę Pignons w Walenciennes, siedziały dwie kobiety zajęte robotą.

Promień słońca wpadający przez niewielki otwór, oświetlał kwadrat koronki, rozłożonej na kolanach młodszej. Drobne pyłki które zwykle błyszczą w promieniu słonecznym, w tym, nie były widoczne; czystość tego lochu była wzorową, a ruchy ciche i jednostajne dwóch pracownic nie poruszały żadnych atomów.

Młoda wyrobnica koronek była bardzo bladą, jej jasno blond włosy, krył mały czepeczek, a ogromny fartuch śnieżnej białości, okrywał całe jej ubranie. Ręce jej drobne i przezroczyste prawie kierowały dwustu tuzinami wrzecion, na których zwinięte były niewidzialne prawie nici, które się krzyżowały na kawałku zielonego sukna, i tworzyły osnowę prześlicznej koronki.

Wzór jej nakreślony na pargaminie, i starannie oprawny, leżał przed nią na stole, lecz ona nań nie patrzyła, znała go bowiem na pamięć.

Stara kobieta siedziała przy niej pogrążona w cieniu, i przędła kądziel, na której len podobnym był do najpiękniejszego jedwabiu, a w jej ręku przemieniał się na niezmiernie delikatną nitkę.

— Babciu! rzekło dziewczę, przybliż się trochę do mnie by uczuć na twych kolanach ciemny promień wiosennego słońca, dziś jest bardzo ciepło, i to mi obiecuje piękną pogodę w czasie bytności naszej w Croissete? Pojedziemy tam 1-go maja, nieprawdaż babciu?

— Jabym chciała nawet pojechać wcześniej moja Krysiu, odrzekła Babka, jesteś w tym roku więcej zmęczoną niż zwykle. Czas ci już wypocząć na wsi, a przytem pić tam będziesz świeże mleko u swej chrzestnej matki.

— I jabym tego pragnęła, zawołała Krystyna ale dopiero 30-go skończyć mogę zadaną pracę a pan Eelpierre na żadne tłomaczenia nie zważa. Trzeba ażeby oddał w sierpniu koronkę tę hrabiemu de Vallers, i otrzymałam pozwolenie odpocząć w maju, z tym jedynie warunkiem, że mu pokażę kwietniową mą pracę ukończoną. Nie jestem tak zmęczoną jak sądzisz babciu.

— Biedna Krysiu! rzekła babka, nie raz słyszę cię kaszlącą w nocy, i ręce twe bardzo wychudły w ciągu tej zimy. Nie zwódź mię naprózno moje dziecię. Przyznaj się czy nie cierpisz na oczy?

— Nie babciu, odparła Krysia, mają się one doskonale. Skończą moją koronkę, ale wiesz babciu co jest na później ułożone. Po tej już tylko grube koronki robić będę. Hieronim będzie cieślą przy Sain-Michel. Zamieszkamy w Croisette, będziemy mieli swoje kury i mały ogródek. Jak to wszystko będzie ładnie!

W tem dał się słyszeć turkot powozu, rzecz niesłychana na ulicy Blanes-Pignous, i zatrzymał się przed wschohami piwnicy. Lokaj w liberyi pochylił się nad niemi i zawołał:

— Czy tu mieszka Krystyna Sproit?

— Tak panie, odrzekła babka, drzwi otwierając.

W chwilę potem stąpanie bucików na wysokich korkach, i szelest sukien jedwabnych, oznajmiły przybycie panny Wallers i jej towarzyszki.

— Jakże tu ciemno! zawołała młoda panna, nie widzę nic a nic, proszę was zapalcie świece.

— Proszę usiąść panienko, rzekła Krystyna podając jej krzesło, i zamknij pani oczy na chwilę. Gdy je otworzysz będziesz mogła z zupełną dokładnością rozróżniać przedmioty.

Nasza piwnica jest jaśniejszą od wszystkich innych w tej części miasta.

— Mój Boże zawołała Flora, jakież być muszą tamte! Usłucham wreszcie i zamknę oczy, ażeby lepiej widzieć.

Położyła swe ładne rączki na oczach i szczebiotała dalej.

— Chciałabym, rzekła, zobaczyć moją koronkę, zamówioną jeszcze w 1755 roku, przez hrabinę de Wallers moją matkę. Wychodzę zamąż a więc jest mi zaraz potrzebną.

— Koronka będzie wkrótce ukończoną, odrzekła Krystyna, i pani odbierzesz ją w dniu naznaczonym, ale proszę ją pierwej zobaczyć.

Flora otworzyła oczy, a Krystyna rozpruwszy

uważnie cienkie płótno, w którem zwiniętą była skończona część koronki, rozłożyła ją przed olśnionemi oczyma młodej dziedziczki. Była to koronka mająca wysoką wartość, deseń jej wyobrażał wieńce z róż i jaśminów, kokardy z wstążek i herby rodziny Wallers, wszystko to otoczonem było tłem przezroczystem, nieporównanie cienkiem. Mało już brakło do dwunastu metrów potrzebnych do uszycia ówczesnej sukni, licząc w to także obwód szyi i dół spódnicy.

Flora zachwycała się świeżością i pięknością tej pracy.

— Czy to prawda, rzekła, że potrzebowałaś lat piętnastu na ukończenie tej koronki?

— Mam dopiero lat dwadzieścia odparła Krystyna, i dopiero od lat siedmiu nad nią pracuję. Zaczęła ją moja babka.

— I dlaczegóż nie pracowała nad nią dłużej? zapytała Flora.

— Dla tego żem wzrok straciła panienko, odrzekła babka, ale na szczęście nauczyłam wnóczkę moją tego rzemiosła, a ona zna je tak dobrze, że żaden z najzręczniejszych pracowników w Walenciennes nie mógłby odróżnić miejsca, w którem wzięła moje wrzeciona. Jest to ostatnia rzecz na świecie którą widziałam jasno, i mogę za nię zaręczyć.

(d. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Trójlistek—wierszyki dla młodych czytelników przez *Ludwika Niemojowskiego.*

Z jakim zajęciem wierszyki p. L. Niemojowskiego czytane są przez młodą dziatwę w *Przyjacielu dzieci*, wiedzą o tem rodzice i nauczycielki. Chwalą ich treść i formę nadobną, nauczki w nich mieszczące się pojmują należycie, dramatycznością i żywością zachwycają się a prostota myśli, łatwość jej wyrażenia, wolna od wszelkiego przymusu tak pociąga młodych czytelników, że wywołuje ciągle z pomiędzy nich naśladowców pragnących utworkami swemi dorównać temu utalentowanemu pisarzowi. Redaktor *Przyjaciela dzieci* ma ztąd niemało kłopotu, musi ukazywać błędy formy, bo treść zawsze jest dobrą i moralną, a przedewszystkiem odwodzić od marnowania daremnie czasu ze szkodą wielką młodzi rwącej się zbyt wcześnie do pióra. Nie jej to wina ale przewodników niepomnych, że każdy wiek ma swoje prawa i obowiązki, że folgowanie chętce pisarskiej tych co jeszcze wiele uczyć się powinni, podsycając zarozumienie, odwodzi od pracy naukowej i wyradza wielce szkodliwą wiarę, w posiadanie geniuszu poetyckiego, zdolnego wznieść ich w wyżyny do jakich nie doszli nawet największej potęgi poeci.

W próbkach tych, znać wprawdzie czasami połyski talentów wiele obiecujące, czasem przemknie się myśl lub porównanie nawet zdumiewające, zawsze jednak są to tylko próbki, jakby pączki nieznanej rośliny, z których niewiadomo co się rozwinie, czy kwiat o cudownej woni, czy listek barwny zielenią, czy pusty pęcherzyk bez krasy i zapachu.

Pochwalić je należy ale z wielkiem umiarkowaniem, z wszczepieniem pojęcia, że utworki podobne jako świadectwa posiadanych zdolności nakładają jeszcze większy obowiązek, pilnej nauki i pracowitości. Drukowanie zaś ich stanowczo naganić trzeba, a jednak znaleźli się tacy, którzy z niemałym nawet kosztem, wydali niezdarne tłomaczenia małoletnich swoich synów, dla rozdania bliższym znajomym na podziw ich genialności.

Cóż to za zaślepienie miłości rodzicielskiej.

Ta jednak chęć naśladowania wierszyków pana L. Niemojowskiego, pochwały jakiemi je obdarzają, najlepiej przemawiają o talencie Autora umiejącego do swej pracy nietylko pociągnąć ale i przywiązywać. Dziatwa pod tym względem ma sąd bardzo trafny i jak tylko coś chwali to z pewnością na to zasługuje.

Trójlistek obejmuje wszystkie wiersze jakie były dotąd drukowane w *Przyjacielu dzieci*, z dodatkiem daleko większej ilości jeszcze niepublikowanej. Rozbierać je szczegółowo niepodobna tak ich jest wiele o treści jak najrozmaitszej. Autor podzielił je na trzy działy odpowiednio do wieku czytelników od lat pięciu aż do piętnastu. Pierwszy dział obejmuje tytułów 199—drugi 125—trzeci wreszcie 88—razem zatem jest ich aż 412. Cyfra to bardzo okaźna, ale niczem podziału tego nieusprawiedliwiająca. Wszystkie bowiem, z małym niezmiernie wyjątkiem, treścia swą zajmą dziatwę pożądającą książki bez tych ściśle oznaczonych lat ich wieku, a nawet i tę gromadkę pono najliczniejszą, nie umiejącą nic jeszcze, a słuchającą chętnie czytanych im głośno powiastek.

Nie jest to więc nagana ale przeciwnie sprawiedliwość oddana talentowi p. Niemojowskiego. Tak pisać jest to pisać dobrze, i tak umie Autor *Trójlistka.* Dziś nieoceniony właściwie przez krytyków i recenzentów pism peryodycznych, w dziale literatury dla dzieci zajął przeważne stanowisko jedynie przez opinią publiczną, którą zaskarbił sobie przy *Przyjacielu dzieci.* Może niektóre wierszyki pomieszczone w wydanym Trójlistku, są słabsze od innych, nie formą ale treścią, nie umniejsza to jednak wartości całego zbioru. W tak wielkiej ich ilości niepodobna było tego uniknąć, a krytykiem trudno być własnej pracy.

Trójlistek wydany starannie czem zalecają się wszystkie wydawnictwa p. Ungra, ozdobiony jest kilku drzeworytami.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Przejazd pierwszej poczty przez górę św. Gotarda, miał miejsce 21 grudnia r. z. Gdy pociąg wjechał do wnętrza tunelu, w miarę zagłębiania temparatura się wzmagała, oddech stawał się trudnieszym. Wiatr północny ochładzał nieco powietrze, lecz w połowie tunelu upał i dym bardzo się wzmogły. Ciężkie to powietrze niemile oddziaływało nietylko na fizyczny lecz i na moralny ustrój siedzących w wagonach. Jednakże stan taki nie trwał długo; powietrze stawało się coraz znośniejszem, podróżnicy odzyskali dobry humor, pociąg coraz śmielej zapuszczał się w wnętrze olbrzymiej góry. Dopiero o 1-ej po północy, passażerowie wydostali się na zewnątrz i swobodnie pełną odetchnęli piersią. Tym razem przebycie tunelu wymagało dłuższego czasu; będzie on z każdym tygodniem coraz krótszy, aż nareszcie ograniczy się do dwóch godzin. Wnętrze góry pognębiające sprawia wrażenie; doznaje się szczególniejszego uczucia patrząc na obnażonych robotników, bladych, wynędzniałych, oblanych potem, którzy od lat tylu poświęcali zdrowie i życie, dla zbudowania tunelu. Można ich spotkać na każdym kroku przesuwających się z lampami w ręku, niosących narzędzia lub ciężary. Widok ten przypomina obrazy Dantejskiego piekła.

Skutkiem przebicia tego tunelu, za rok lub półtora, zamknięty zostanie klasztor św Gotarda, założony na tej górze jeszcze w XIV-ym wieku, gdyż teraz nie będzie on tam już potrzebnnym, ponieważ bardzo chyba mało kto, choćby z bardzo biednych, zechce pójść przez górę piechotą. Stanie się ona tylko przedmiotem ciekawości turystów, którzy uzbrojeni kijem górskim, zapragną zwiedzić jej górskie szczyty. Tak podróżujący z potrzeby jak też robotnicy, będą mogli przebyć dwu milową przestrzeń z Goeschenen do Airolo za niecałego franka.

Klasztor czyli przytulisko św. Gotarda, przez długie wieki nieobliczone oddawało usługi podróżnym a szczególniej robotnikom z górnych Włoch, których liczne zastępy znajdowały w nim schronienie. Niejednokrotnie przeszło stu przybywało naraz, a że w klasztorze było tylko 50 łóżek, zadawalniali się w ich braku wiązką słomy i schronieniem zabezpieczającem ich od wiatru i słoty. Rocznie po 50,000 osób znajdowało tu przytułek, a utrzymanie klasztoru kosztowało 18,000 fr. zbieranych z dobroczynności publicznej i z zapomóg dawanych przez kanton Tessynu i rząd włoski.

+ W pośród przepysznych okazów koralowych, przedstawionych na tegorocznej wystawie rybackiej w Berlinie przez firmę Mazza, Gueseppi i synowie pod Neapolem, powszechną zwracała uwagę gałęź koralu ważąca jedenaście funtów i oceniona 6,000 rubli a okok niej druga w trzech barwach: białej, różowej i ponsowej, pozostająca od lat 200 w posiadaniu rodziny tejże firmy. Podziwiano także naszyjnik wartujący 12,000 rs. i przepyszną pieczątkę z jednej sztuki jasno czerwonego korala, przedstawiającą wizerunki królewskiej rodziny włoskiej. Na wierzchu znajduje się popiersie zmarłego Wiktora-Emmanuela; pod niem, na prawo popiersie panującej królowej Małgorzaty, na lewo króla Humberta, w środku, poniżej syna ich, księcia, następcę tronu, otoczone kwiatami i emblematami. Firma Mazza ofiarowała pieczątkę tę królowi, który przyjął podarunek, żądając jednak aby poprzednio została wystawiona na wystawie berlińskiej.

+ Dzienniki francuzkie donoszą że jakiś inżynier amerykański wynalazł maszynę do sztucznego wyrabiania koronek, w niczem nie ustępujących wyrabianym ręcznie. Jeźli fakt jest prawdziwy, wynalazek ten spowoduje zupełny przewrot w koronkarstwie.

+ Godny zastanowienia fakt podaje „Kuryer poranny;" powtarzamy go dosłownie.

Do jednej z kancelaryj parafialnych w Warszawie, zgłosił się młody człowiek z prośbą o ogłoszenie zapowiedzi małżeństwa. Na mocy przepisów postanowionych przez Sobór powszechny Trydencki, kapłan przyjmujący zapowiedzi, zaczął pana młodego egzaminować z katechizmu. Ten z początku nie chciał się poddać egzaminowi, twierdząc iż jako kandydat prawa ukończył uniwersytet a przedtem gimnazyum, gdzie dobrze nauczył się katechizmu. Ksiądz nie dał przecież za wygranę i grzecznie ale stanowczo poprosił o odpowiedź na zadane pytania. Cóż się okazało?—oto pan kandydat praw nie umiał odpowiedzieć na zadane najprostsze zasadnicze pytania — zapowiedzi więc nie zostały przyjęte, i kapłan prosił pana *** aby przyszedł za tydzień do kancelaryi odpowiednio przygotowany.

Skonfundowany pan młody zżymał się na to, lecz nie chcąc iść, jak to mówią, przebojem, kupił sobie katechizm, ks. Putiatyckiego i przyszedłszy za tydzień nauczył się tyle iż mógł odpowiedzieć zadawalniająco na wszystkie pytania.

Jest to fakt pod wielu względami charakterystyczny oraz dowodzący, jak nawet ludzie wysoko wykształceni nie znają nawet elementarnych zasad wiary, przeciw której stawiają nieraz zarzuty."

+ *Dyabeł polski*, pod tym tytułem zamieszczony był w 10 N-rze „Echa" z r. b. zajmujący artykuł który tu podajemy w krótkości.

„Wiara w dyabła, pisze p. Z. G. była rozpowszechnioną wśród wszystkich ludów, tylko każdy lud inaczej go sobie przedstawiał i inną nadawał mu nazwę. U ludów białych dyabeł jest czarny, u murzynów biały. Lud polski wyobraża sobie dyabła ubranego z niemiecka, kuso, we fraczku, z harcapem, w trójkątnym kapeluszu w pończochach, w trzewikach czy pantoflach: za to znowu Niemcy często swego dyabła ubierają w kontusz. Co do nazwisk tych dyabeł polski miał od od wieków kilkanaście.

Za panowania Zygmunta III, pastor protestancki, Jan Borawski, wydał w 1607 r. dziełko pod tytułem „Sejm piekielny," wprowadzeni do niego dyabli noszą tam nazwiska pod jakiemi wówczas znani byli ludowi, jako to: Smołka, Rogalec, Latawiec, Asmodeusz, Lelek, Przechora, Klekot i Paskuda. Dotąd lud nasz dyabła kryjącego się w lasach w uschłych i wypróchniałych drzewach, nazywa *borowcem* albo *borownikiem*. W podaniach litewskich nazywają *chochlikiem* psotnego i wesołego dyabełka, nie będącego ani bardzo złym ani bardzo szkodliwym, ale lubiącym płatać ludziom nieustanne figle i psoty. Ubrany po niemiecku, wskakuje na wieże i szczyty drzew i tańczy sobie po gałęziach. Jak mówi wieszcz nasz:

„Istny niemczyk, sztuczka kusa,
I podskoczył, i dał szusa."

On to sprowadza z drogi i błąka podróżnych, śpiących w drodze budzi nagle, pijanych popycha w błoto, a gdy w niem głęboko zagrzęną śmieje się szyderczo i przeraźliwie. Lubi nadzwyczaj drażnić młode dziewczęta i gospodynie, przywodząc je tym sposobem do kłótni, gniewu i przekleństw, które nadają mu do nich prawo. Wiele powieści na tem tle osnutych krąży pomiędzy ludem litewskim i polskim.

Na błotach i bagniskach, wśród zarośli i łozy, przy starych młynach, groblach, a szczególniej w starych i suchych wierzbach, lubi przebywać *Boruta*. Boruta, mieszkaniec błot łęczyckich, pilnuje skarbów ukrytych w zwaliskach zamku łęczyckiego, które tam w lochach zachowali książęta mazowieccy. Straszył on przechodniów i podróżnych. otumaniał i wprowadzał w trzęsawiska. Gdy przed wiekami, po drugiej stronie tych błot, zaczęto budować słynny, po dziś dzień istniejący kościół, zwany „Tumem" Boruta pochwycił za węgieł granitowy z lewej strony, chcąc obalić świątynię Pańską—ale przechodziło to jego możność i siłę. Dotąd jednak pozostały na granicie ślady jego palców. Lubił on przybywać do gospody przybrany w polski szlachecki strój i hulać wesoło z gośćmi, przytem rąbał się dzielnie i przepijał największych łęczyckich pijaków. Raz jednak pokonał go pewien dzielny łęczyczanin, zrobiwszy szablą znak krzyża św. pokiereszował i wypłazował porządnie Borutę, i ten okryty wstydem i hańbą skrył się w lochach zamku i już nie pokazywał się na świat.

W pojęciach ludu naszego, dyabeł dla tego psoci i dokucza ludziom, aby ich doprowadzić do przekleństw, które sobie zapisuje. Gdy ktoś np. zgubi coś lub zarzuci, dyabeł zaraz to przysiada aby nie mógł znaleźć. Aby go odpędzić trzeba mówić żegnając się: „Oddaj dyable zgubę, bo ci łeb oskubię." Czyhając wiecznie na dusze, dyabeł korzysta z każdego zapomnienia się przywar, a nawet najniewinniejszych nałogów ludzkich. I tak np. kto podczas spożywania wigilii w przeddzień Bożego Narodzenia, huśta nogą pod stołem, ten buja na niej dyabła.

W zapusty dyabeł tańcuje w karczmie za każdą parą, lub rej prowadzi stając przed tańczącymi; kto go chce zobaczyć musi całą odzież włożyć na siebie na wywrót, lub też patrzeć przez dziurę od sęka w desce wziętej z trumny. Trzeba jednak być ostrożnym i nie patrzeć długo, bo dyabeł może się strasznie zemścić za to podglądanie, gdy zapisuje tańczących. Utrzymują także że dyabła tańczącego przed parami, może zobaczyć ksiądz, jeźli patrzeć będzie przez kość z otworem ocznym małego niewinnego dziecka.

Po spaleniu *sobótki* trzeba przeżegnać ognisko, inaczej dyabeł wyprawi sobie hulankę, przenosząc ogień na wioskę lub okolicę.

Zdaje się jednak że dyabeł polski lepszym jest od kolegów swoich innych narodowości, a rozumem i sprytnem podejściem zawsze go można pokonać. Nie mówiąc już o Twardowskim, bo był to mądry szlachcic i uczony czarnoksiężnik, ale ileż to lud nasz powtarza dykteryjek, opiewających że prostym chłopskim rozumem chłopi i baby wywodzili dyabła w pole. A wnosząc z przysłowia: gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle trzeba mniemać iż sam w obec bab uznał swą niższość i w ciężkich razach ucieka się do ich pomocy.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie balowe z płaszczykiem „Douillette". Płaszczyk z kolorowego pluszu z podszewką atłasową tego samego koloru jest przemarszczany przy wykroju szyi i przy rękawach. Do związania służy bardzo gruby sznur szenelowy z kwastami.

Ubranie strojne wizytowe lub do teatru. Vêtement z ciężkiej adamaszkowej materyi dochodzi aż do dolnych falban sukni, danych z atłasu. Przód sukni jest bufowany aksamitny i tworzy również przy staniku rodzaj plastronu. Vêtement zapinane z boku na kryte haftki. Rękawy hiszpańskie wysoko zachodzące na ramiona, muszą być w górze lekko podwatowane. Na głowie złote przepięcie i kwiaty.

Zawiadomienie.

Skutkiem zaniedbania nauki języka ojczystego, nietylko dziś mało kto z młodzieży płci obojga potrafi napisać wypracowanie lub list stylem poprawnym i bez błędów gramatycznych, ale nawet i niektórzy literaci, wydający na świat swoje prace w czasopismach i oddzielnych książkach, zapełniają rażące wykroczenia przeciwko zasadom i duchowi języka polskiego. Na błędy tego rodzaju konieczną jest rzeczą zwrócić należytą uwagę, tem bardziej że czepiają się nas one tysiącznemi drogami; ukradkiem i nieświadomie albo też przez naśladowanie owych błędnych drukowanych wzorów. Podjął się tej p. Lud. Szczerbowicz-Wieczór i zebrawszy w ciągu lat kilku sporą wiązankę rozmaitych błędnych wyrażeń, form i sposobów mówienia, przeważnie z pism peryodycznych warszawskich, ułożył je w systematyczną całość naukową, wykazał źródło i istotę tych błędów, sprostował je i opatrzywszy obszernym wstępem, drukuje obecnie w Płocku p. t. „O skażeniu języka polskiego w prasie." Książka [illegible] będzie od 12 do 15 arkuszy druku i wyjdzie na świat w miesiącu lutym 1881 roku. Zawierając zbiór wszystkich prawie najpospolitszych wykroczeń przeciwko językowi polskiemu, które obecnie, że tak powiemy, niejako unoszą się w powietrzu, wzmiankowane dzieło stanowić będzie koniecznie potrzebny poradnik *dla dzieci, dla młodzieży, dla matek, dla nauczycieli i nauczycielek* i w ogóle dla tych wszystkich, którzy czują pewne braki w swej znajomości mowy ojczystej. Ażeby dać wyobrażenie o treści tej książki, przytaczamy tu spis jej rozdziałów.

Rozdział I. Zmienność języków. Trwałość rzeczy i spraw ludzkich.—Znikomość języków.—Języki umarłe.—Wiek języków.—Pobudki zachowania i strzeżenia języka.—Znaczenie języka dla narodowości.—Owocność działań ludzkich w celu zachowaniu języka.—Przyczyny upadku języków.—Brak literatury.—Wpływy polityczne.—Różnice dyalektyczne.—Wpływy obce.—Smutny przykład szlązkiej polszczyzny. — Przejście do następnej kwestyi.

Rozdział II. Język książkowy i mowa ludowa. Stosunek, rozwój i kształcenie obojga.—Język polski.—Dyalekty języka polskiego.—Pomysł zmiany terminologii w klasyfikacyi języków słowiańskich. Dyalekty języka polskiego chorobliwe czyli wymierające,—Stosunek języka polskiego książkowego do mowy ludowej.—Wpływy obce; trojaka ich przyczyna.—Zwyczaj i nowatorstwo.—Trzy przewodnie względy, obowiązujące piszących i główne prawidła, wynikające z ich zastosowania do leksykologii, morfologii, frazeologii, składni i stylu.

Rozdział III. Język prasy naszej, wyrazy i wyrażenia warszawskie. Obecne skażenie naszego języka literackiego i przyczyny tego zjawiska.—Konieczność wyjścia z obojętności i przerwania milczenia w tym przedmiocie.—Solecyzmy warszawskie w leksykologii i frazeologii.—Łamańce językowe w humorystyce.—Próbki solecyzmów warszawskich w leksykologii i frazeologii humorystycznej.

Rozdział IV. Solecyzmy warszawskie w odmianach wyrazów (morfologii) i *składni.*

Rozdział V. Rusycyzmy.

Rozdział VI. Galicyzmy, germanizmy, wpływy żydowskie niewłaściwe używanie wyrazów cudzoziemskich.

Dodatek I. Dodatek II. Dodatek III.

Książka będzie wydrukowana w ograniczonej liczbie egzemplarzy; ci zaś, którzy zamówią ją przed wyjściem, otrzymają egzemplarz za 1 rubla, a ich nazwiska zostaną wydrukowane na czele książki, jako lista prenumeratorów. Po wyjściu z druku cena będzie podwyższoną i dodane będą nadto koszta przesyłki.

Prenumerować można: w Płocku u autora (ulica Szeroka Nr 55) i w księgarni Wasermana; w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Illustrowanego (Nowolipki Nr 3) i Tygodnika mód i powieści (Chmielna Nr 20).

SPROSTOWANIE.

W N-rze 3 w wierszu p. t. „Pieśń huryssy", na str. 30 wierszu 25 od dołu zamiast *śłni* powinno być *lśni*, na str. 31 wiersz 13 z góry zamiast *zaszemrał* powinno być *rozszemrał*, na str. 31 wiersz 20 z góry zamiast *roztęsknioną*, powinno być *roztętnioną*, na str. 31 wiersz 47 z góry zamiast *sławy piorunnemi* powinno być *słowy piorunnemi*.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 13 Января 1881 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)
przez J. B.

(Dalszy ciąg).

— Nieznośna to figura, mój przyjacielu, rzekł pan de Vérain. Darowałbym mu jeszcze że gra w karty,—ma tak ogromny majątek; możnaby mu także nie brać tak bardzo za złe jego stosunków z pewnemi kobietami — wszyscy niemal mamy na sumieniu podobne grzeszki, ale nie postępuje się podobnie jak on, szczególniej mając tak powabną i tak powszechnie szanowaną żonę. Ujawnia skandalicznie swój stosunek z jedną z okrzyczanych chórzystek z baletu; wynajął jej willę tuż obok swojej, słowem to rażące. Ma się rozumieć że jejmościanka wodzi go za nos i wyzyskuje niemiłosiernie. Gra zapamiętale a grać nie umie; jeźli karta mu nie idzie chce się odbić ciągłem zwiększaniem stawek; kto chce może go ograć. Jest pod pewnym względem skąpy, a przytem próżny i pyszny jak paw'. Jeżeli kto uderzy w tę jego słabą stronę, choć z bólem serca, ale gotów garściami za okno wyrzucać pieniądze. Jest pośmiewiskiem całego klubu. Ale otóż i on!

Feliks d'Éricey wszedł do sali, pochylając niedbale na obie strony swą wysoką postać; jednych witał poufale, innych—którzy pewnie przyjęliby go bardzo zimno, mijał z podniesioną głową, poczem zwrócił się ku salonowi gry.

— Dzień dobry, Feliksie, rzekł zastępując mu drogę hrabia de Fleynac.

— Ah! pan hrabia!... jesteś pan w Paryżu?... a tak... przypominam sobie... żona mówiła mi czy pisała... bo bawię na wsi. Jerzy jeszcze w Paryżu? proszę go pozdrowić... Ja w wieczór wyjeżdżam do Celles... przykro mi, ale muszę odejść.

Hrabia powrócił do pana de Vérain, który słuchał z uśmiechem tej rozmowy.

— Jedzie do Celles! rzekł wszystko-wiedz; skłamał obrzydliwie. Wieczorem ma być w Mabille ze swoją Saltarellą. Wie dobrze iż go tam zobaczą, ale jest tak bezczelnym kłamcą, że się o to nie troszczy... A! żenisz syna, hrabio! bardzo piękna ta panna von Laybach — będzie mieć powodzenie w świecie... Ale między nami mówiąc, poradź synowi żeby się pozbył tego księcia de Sauves. Zdaje się, przynajmniej on rozpowiada, że bardzo dobrze znał i często bywał u pań tych we Florencyi— a wiesz równie dobrze jak ja, iż taki de Sauves w domu, to jak morowa zaraza w kraju.

— Masz słuszność w ogóle, ale w tym razie mylisz się, książę de Sauves chyba nie bywa u tych pań, nie widziałem go tam ani razu.

— A! albo on się chełpił, albo może one same starały go się pozbyć — w takim razie tem lepiej... ten książę to znany hultaj... Ale wracając do pana d'Éricey, właśnie teraz de Sauves wziął go w obroty, i głupiec ten dał się złapać na wędkę jak nierozumna płotka. Zobaczy dopiero do czego go to doprowadzi.

Pożegnali się; hrabia odszedł mocno zaniepokojony.

— Cóż to znowu za historya o tym księciu i o Helenie myślał... A i moja biedna, ukochana Stenia... cóż to za nieszczęście!

Powróciwszy do Court-la-Reine, zastał panią d'Éricey siedzącą na zastawionym kwiatami peronie, smutną i zamyśloną, ale nadzwyczaj powabną. Nie pojmował jak mógł ktokolwiek przekładać nad nią jaką bądź inną kobietę.

Obiadowali we dwoje. Stefania czując się znużoną, oznajmiła służbie że nikogo nie przyjmuje, i pozostała w pięknym białym negliżu. Około dziewiątej Jerzy przyszedł chmurny i smutny; przybycie jego zadziwiło ich wielce, gdyż zwykle całe wieczory spędzał z narzeczoną.

— Przerywam wasze sam na sam wpadając tu w charakterze *terzo incommodo*, rzekł zmuszając się do uśmiechu.

— Zawsze jesteś tu miłym i pożądanym gościem, odrzekła Stefania; ale gdzież te panie? czemu nie przyszły z tobą?

— Niesłychanie są znużone; siły pani von Laybach upadają pod ciężarem paryzkiego życia. Ona zawsze taka dobra i łagodna, dziś wieczorem łajała Helenę która też dała mi do zrozumienia żebym je zostawił same. Wtem przyszedł ten przeklęty książe de Sauves, przynosząc im bilety na jakiś tam koncert; znieść go nie mogę więc wyszedłem.

Stefania zarumieniła się i mimowolnie spojrzała na starego swego przyjaciela; zadziwiła się widząc że i na nim słowa Jerzego równie przykre sprawiły wrażenie; a więc oboje więcej wiedzieli o blizkiej znajomości panny von Laybach z księciem de Sauves, niż dobry, ufny i niepodejrzliwy jej narzeczony.

— Czyż pani i panna von Laybach w tak zażyłych z tym panem zostają stosunkach? zapytał hrabia, niezadowolniony że sprawdzają się przypuszczenia pana de Vérain.

— Bywał u nich często we Florencyi. Pani von Laybach bardzo go nie lubi, ale Helena sądzi że nie godzi się nie przyjmować go w Paryżu, skoro tam tak częstym był ich gościem. Ona tak dobra i delikatna, a nie może znać powodów dla jakich nie życzymy sobie bliższych z tym panem stosunków... powoli potrafię ją przekonać.

— Uczyń to, odrzekł hrabia, nie kładąc jednak nacisku na te słowa; Helena niezawodnie zastosuje do twego życzenia.

Jerzy nic nie odpowiedział; pozostał smutny i zamyślony. Stefania starała się wszelkiemi sposobami rozerwać i zabawić swoich przyjaciół. Gdy rozmowa ucichła, usiadła do fortepianu i zaśpiewała im kilka ulubionych kawałków, a śpiewała tak mile i z takiem uczuciem, iż śpiew ten rozproszył chmury zasępiające ich czoła. Podano herbatę, dobry humor powrócił, przy wesołej przyjacielskiej pogadance.

Jerzy odprowadził ojca do jego pokoju.

— Kochana moja Stenia, rzekł hrabia, jaka ona dobra i serdeczna!

— A jaka śliczna dziś była w tym białym negliżu! odpowiedział Jerzy; gdy śpiewała ileż to wdzięku i wyrazu było w jej twarzyczce. Ktoby był mógł przypuścić że mała małpka tak się cudownie odmieni.

Hrabia westchnął ale nic nie odpowiedział.

VII.

Kilka dni upłynęło w ciągu których pani d'Éricey krótko i nie tak często widywała się z przyjaciołmi; zajmowała się urządzaniem bazaru na cele dobroczynne, w którym i ona miała zasiąść w jednym ze sklepów. Zabierało jej to dużo czasu, bo często u niej zbierano się na narady. Odznaczała się rzadką pomysłowością i darem organizacyjnym; przytem pełna prostoty i wolna od samolubstwa, co dozwalało jej rozwiązywać wiele trudności i śmiesznych wymagań, nieodstępnych zwykle przy takich turniejach próżności, w których każda z uczestniczek chciałaby zaćmić wszelkie współzawodniczki. Widząc jednak że pani d'Éricey, zajmująca tak wysokie stanowisko społeczne, zgadzała się chętnie zająć najgorsze miejsce i nie usuwała się od nieuchronnych w podobnych razach nieprzyjemności, żadna z pań nie śmiała okazać się więcej wymagającą.

Gdy nadchodził dzień oznaczony, Jerzy przybył do niej, mówiąc po przywitaniu:

— Znowuż będę natrętnym, ale nie mogłem tego uniknąć. Oh! ten nasz Paryż! jakże nieprzeparty wpływ wywiera on na kobiety.

— Cóż się takiego stało?

— Czy przypominasz sobie tę bajkę niemiecką, w której rybak skarży się do ryby-wieszczki: „Żona moja nie chce tego co ja chcę?" Otóż narzeczona moja chce tego czego ja nie życzyłbym sobie.

— Doprawdy! I czegóż chce panna Helena.

— Żebym cię prosił abyś raczyła przyjąć ją za pannę sklepową, przez czas trwania bazaru na cele dobroczynne.

— Przynajmniej nie żąda rzeczy niemożebnej. Ale czy i ty życzysz sobie tego?

— Wolałbym żeby przed ślubem naszym nie tak często przynajmniej przyjmowała udział w publicznych zebraniach, odrzekł smutnie, ale chcę być szczerym z tobą, droga Stenio. Parę dni temu posprzeczaliśmy się trochę, ale w końcu Helena uległa moim naleganiom, czyniąc mi przyrzeczenie które ją wiele kosztowało. Otóż wymogłszy to na niej, nie chciałbym teraz sprzeciwiać się jej życzeniu, odmawiając przyjemności najzupełniej nienagannej i bardzo naturalnej chęci zobaczenia zupełnie nieznanej jej zabawy.

— A więc życzenie jej zostanie spełnione, odpowiedziała Stefania; obecność jej będzie wielką ozdobą i zarazem przynętą do mego sklepu.

— Serdeczne dzięki, droga Stenio... zawsze, zawsze jedno powtarzać trzeba: jesteś dziwnie pobłażająca i dobra jak anioł!

Odszedł uradowany. Wyprawiając go z tem poselstwem od którego pomyślnego załatwienia wiele, jak się zdawało jej zależało, Helena rzekła z gorycza:

— Jestem pewna że odmówi.

— Jerzy zawahał się — a jeźli Helena ma słuszność?... aż tu wracał z najuprzejmiejszem zezwoleniem. Helena oczekiwała go z gorączkową niecierpliwością.

— I cóż odpowiedziała? zawołała zaledwie wszedł do salonu.

— Zgodziła się bardzo chętnie.

— Niepodobna!

— Dlaczegóż miałaby odmówić?

— Hum! odpowiedziała, spoglądając w zwierciadło.

— Helena uroiła sobie że że pani d'Éricey mogłaby obawiać się współzawodniczyć z jej pięknością, rzekła surowo pani von Laybach.

— Nigdy podobna myśl nie mogłaby powstać w umyśle Stefanii; nie ma ona najmniejszej pretensyi i zupełnie nie zajmuje się sobą. Charakter tak szlachatny i prawy musi być wolny od wszelkiej zazdrości i próżności.

— Nie potrzebuje nawet być zazdrośną, dodała matka; jest bardzo ładna i posiada jakiś niewypowiedziany urok, który trudno byłoby przewyższyć.

— Masz pani słuszność i dziękuję stokrotnie że tak umiałaś ją ocenić, rzekł żywo Jerzy.

— I wychwalać ją moim kosztem, zawołała kwaśno Helena. O! wiem dobrze iż tak w twoich jak matki mojej oczach, pani d'Éricey jest ideałem doskonałości; ale znajdą się tacy co uznają iż nie jestem niegodną zasiąść obok niej.

— Skąd ci przyszła podobna myśl, Heleno! zawołał Jerzy; jesteś tak piękną iż nie powinny cię obrażać pochwały oddawane innej kobiecie.

— Mniejsza zresztą o wszystko, skoro będę zasiadać w bazarze, czego tak gorąco pragnę! Mamo, musimy niezwłocznie zająć się moją toaletą, tak już mało mamy czasu.

— Czy nie podziękujesz mi, Heleno? rzekł Jerzy.

Podała mu jedną rękę, biorąc drugą leżący na stole dziennik mód.

— Dziękuję, dziękuję, rzekła obojętnie. A! to nie ten numer.

I wyszła do drugiego pokoju szukać brakującego numeru. Jerzy stał chmurny, naprzeciw widocznie niezadowolonej pani von Laybach.

— Spodziewałem się innego podziękowania wyszeptał smutnie.

— Kochany Jerzy, rzekła pani von Laybach, źle robisz dogadzając zbytecznie kaprysom Heleny. Podobny rodzaj życia niekorzystnie oddziaływa na nią, a ja bardzo się czuję zmęczona. Te ciągłe zabawy i stroje nie zgadzają się z naszem położeniem majątkowem, zatem postanowiłam wracać do Florencyi.

— Niczego więcej nie pragnę! zawołał Jerzy; i po ślubie Helena może dokończyć wyprawy i porobić żądane sprawunki.

— O co chodzi? zapytała Helena wchodząc do pokoju; kto mówił o wyjeździe?

— Ja i matka twoja, droga Heleno; oboje pragniemy jak najprędzej opuścić Paryż; wszak i ty zgodzisz się na to przyśpieszenie chwili naszego połączenia?

— Mamy wyjeżdżać jak najprędzej! zawołała stając nagle, wyjeżdżać! dlaczego?

— Dla przyśpieszenia ślubu, odpowiedział żywo dotknięty Jerzy; wszak dawniej pragnęłaś tego, Heleno, czyżbyś zmieniła zdanie?

Spojrzała na matkę.

— Wiesz co myślę o tem, Heleno, powiedziała pani Laybach, mówiłam ci nie raz że trzeba nam wyjeżdżać—a skoro i Jerzy tego sobie życzy...

— Ale ja nie chcę aby mnie tak wodzono na pasku! zawołała Helena unosząc się, czy macie mnie za dziecko?... Nie chcę wyjeżdżać tak nagle i być pozbawioną przyjemności zasiadania w bazarze—nie dręczcie mnie tak niemiłosiernie.

I padła na kozetkę zalewając się łzami. Jak w ogóle mężczyźni, tak i Jerzy nie mógł znieść widoku łez kobiety.

— Kochana moja, rzekł probując usiąść koło niej, nie mamy zamiaru przeciwiania ci się i sprawienia przykrości...

— Jerzy! co robisz, chcesz usiąść na mojej gazowej sukni! zawołała przestraszona.

— Bierz licho wszelkie fatałaszki! mruknął Jerzy usuwając delikatnie suknię, a jeszcze znów to i to, zawołał, podnosząc z kozetki koronki, rękawiczki i pugilaresik z biletami wizytowemi.

Pomimo gniewu, Helena nie mogła powstrzymać się od śmiechu; a taka była śliczna śmiejąca się i płacząca razem, że Jerzy nie mógł oprzéć się urokowi. Ujął jej dłonie i zaczął mówić łagodnie i czule.

— Będziesz zasiadać w bazarze, Heleno moja, a ja dumny będę ze składanych ci hołdów; ale przyrzecz mi że wyjedziemy zaraz potem, i że równie jak ja cieszyć się będziesz z przyśpieszenia naszego ślubu.

Helena zbladła i patrzyła na niego jakby z kłopotliwem wahaniem; wtem podniósłszy oczy, spotkała się z surowem i zarazem błagalnem spojrzeniem matki. W jednej chwili nagła zaszła w niej zmiana. Zwróciła się ku Jerzemu, i pochylając się tak że włosy jej dotknęły jego czoła, rzekła dość głośno aby matka mogła słyszeć:

— Zrobię co tylko zechcesz, i szczęśliwą będę ze wszystkiego co ciebie uszczęśliwić zdoła.

Upojony radością, Jerzy objął jej kibić i przycisnął czule do serca.

— A teraz odejdź już, kochany Jerzy, mam jeszcze bardzo wiele zajęcia; do widzenia.

Jerzy westchnął ale był posłuszny; matka i córka zostały same.

— Dla czego nie powiedziałaś mu prawdy? rzekła smutnie pani von Laybach; czemu oszukujesz tego zacnego, szlachetnego młodzieńca! to niegodnie, Heleno! Zezwoliłam na to małżeństwo, ponieważ przysięgałaś mi że nie kochasz już księcia, że miłość ta już zamarła w twojem sercu. Skoro jednak zobaczywszy go znowu, przekonałaś się że kochasz go zawsze, więc wyznaj to szczerze Jerzemu lub napisz do niego, i wyjedziemy same do Włoch lub do Niemiec.

— Co! ja miałabym wracać do tego nędznego życia jakie wiodłyśmy dawniej, do ubóstwa nie dozwalającego mi zakosztować żadnych ziemskich rozkoszy i przyjemności!... Przed chwilą już wyczytałam z oczu twoich, matko, że tego żądasz odemnie —ale nigdy, nigdy się na to nie zgodzę, nie wyrzeknę się uciech światowych jakie tu poznałam... Książę nie ma majątku więc nie może żenić się ze mną—nie ma rady, muszę iść za Jerzego.

— A więc zerwij z tym człowiekiem, który nie chce nadać ci swego nazwiska i nie pozwala zostać uczciwą kobietą. Ojciec twój i ja byliśmy biedni ale uczciwi; na miłość boską, nie zapominaj o tem, Heleno!

— A! matko! nie popychaj mnie do ostateczności, zawołała Helena, zrywając się w uniesieniu gwałtownej rozpaczy i biegnąc ku otwartemu oknu, bo o bruk ten roztrzaskam sobie głowę!

Przerażona matka ujęła ją w objęcia, płacząc okrywała pocałunkami i uspokoiła powoli.

— Nigdy już nie mówmy o tem, szepnęła Helena —nie ma rady!

VIII.

Słońce pełnym zajaśniało blaskiem; po błękicie nieba zaledwie tu i owdzie białe przesuwały się obłoczki; wiosenna zieloność drzew, świeże korony rozkwitłych kwiatów, cała przyroda zdawała się chcieć przyłożyć rękę do świetnego powodzenia dzieła miłosierdzia, mającego się odbyć w ogrodzie pani de C.

Pięknie urządzone wystawy sklepowe wiodły na pokuszenie spacerujących; orkiestra przygrywała ukryta wśród drzew. Tłumy cisnęły się po alejach śpiesząc do sklepów pięknych, dystyngowanych kupcowych, ubranych skromnie ale z niezrównanym smakiem i elegancyą.

Pani d'Éricey urządziła swój sklep z artykułami toaletowemi, pod cieniem rozłożystych kwitnących kasztanów. Bardzo efektownie ułożone jedwabie, wstążki, koronki i różne drobne przedmioty, przykuwały uwagę przechodzących; rozłożone po obu stronach bogate materye wschodnie, tworzyły jakby ramy pięknego tego obrazu.

Ale największą ozdobę małego tego składu, stanowiły dwie jego przedstawicielki. Helena nie zawiodła się licząc na potęgę swych wdzięków, ogólnie podziwiano jej piękność. Ślicznie jej było w różowej z trzech cieni sukni; na pierwsze spojrzenie zaćmiewała panią d'Éricey przybraną w skromną białą *crepe de chine* suknię; lecz jeźli piękność jej od razu uderzała w oczy, za to każdy dłużej wpatrywał się w jej towarzyszkę, pełną nieprzepartego uroku.

Sprzedaż szła im świetnie, zapas towarów zmniejszał się szybko.

Było już dość późno; Stefania zajęta była w drugim rogu sklepu, gdy Helena skinęła na Jerzego, który pomagał im zawijać i oddawać kupującym paczki.

— Brakuje nam wielu przedmiotów, rzekła, chciej udać się do pałacu pani d'Éricey i każ przynieść tu pozostawione tam zapasy; coraz więcej przybywa nam kupujących.

Jerzy odszedł natychmiast aby spełnić jej polecenie.

— Jerzy, zawołała w chwilę potem pani d'Éricey, proszę cię o arkusz papieru do zawinięcia tego krawatu.

— Służę pani, rzekła podając Helena, Jerzego nie ma.

— Jakto, już odszedł? zapytała Stefania, uchodzi to ojcu jego, ale on mógł pozostać jeszcze, a nie zostawiać nas własnym siłom.

— O! nie zbraknie nam pomocników, gdy tylko zechcemy, odpowiedziała Helena.

Gdy to mówiła zbliżył się do niej młody mężczyzna, i poufale podał rękę na przywitanie, mówiąc:

— Czy nie umierasz pani ze znużenia? jakąż to nadludzką odwagę i wytrwałość posiadają kobiety, ilekroć chodzi o to aby błyszczéć i olśniewać wszystkich... Co mi pani sprzeda?

Helena wskazała krawaty i rękawiczki.

— Dobrze, biorę rękawiczki, ale zechciej pani przymierzyć czy będą dobre.

Gdy Helena z przesadzoną wesołością wkładała rękawiczki na ręce swego klienta, Stefania odwróciła się ku niej i poznała księcia de Sauves.

(d. c. n.)

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

— Sądziłem że sama zrozumiesz to że tak być musi; okazywałaś zawsze tyle nieżyczliwości mojej przyszłej żonie, że byłoby szaleństwem wyobrażać sobie że możesz być szczęśliwą żyjąc i nadal z nią razem. Zastanów się tylko nad twojem ostatniem dziełem... Zatrzymał się nie chcąc znów doprowadzić ją do gniewu i dodał śpiesznie: Ale nie mówmy już teraz o tem rozłączeniu; będę dziś jeszcze w Trampton i wtenczas wrócimy do tego przedmiotu. Do zobaczenia.

Po tych słowach wyszedł pozostawiając siostrę w niezbyt pożądanem usposobieniu umysłu.

— O której godzinie każe pani podać śniadanie? zapytał Wheler, wchodząc do gabinetu w kilka minut później.

Dźwięk jego głosu wyrwał ją z ponurego zamyślenia, i odpowiedziała że wyjdzie zaraz do jednej ze znajomych. Wyszła rzeczywiście wkrótce, aby powierzyć swe smutki i żale Matyldzie Upjohn, która zawsze potrząsała znacząco głową, mówiąc o szaleństwie doktora Ford który mógł wybrać na żonę takiego dzieciaka jak Teodora Fleming.

Te kilka godzin spędzonych w towarzystwie najdroższej Matyldy, przyniosły taką ulgę Maryannie, że wracała do Trampton z najsilniejszem przekonaniem, że jest prawdziwą męczennicą, nieszczęśliwą ofiarą swej troskliwości o szczęście brata, a wiemy że daleko przyjemniej uchodzić za ofiarę niżeli za prześladowcę.

Ale cios który zadała bratu był tak ciężki i bolesny, że tylko dzięki niezwykłej mocy duszy mógł spełniać swe obowiązki, i zachować, tak do nich potrzebną bystrość umysłu. Oskarżenie rzucone na jego narzeczoną zraniło go boleśnie, ale był zbyt dumnym aby dozwolił to komuś dostrzedz.

Obawa i powątpiewanie zakradły się znów do jego umysłu kiedy zaczął rozmyślać nad tem co usłyszał od siostry. Gniewał się na siebie że tak niegodne podejrzenia mogły wywierać jakiś wpływ na jego przekonania, a pomimo to nie mógł odepchnąć od siebie myśli zatruwających jego szczęście. Przypomniał sobie swoje własne obawy, swoje własne doświadczenie, szydercze docinki siostry, przestrogi przyjaciół; przyszły mu także na myśl wszystkie spostrzeżenia które czynił już jako narzeczony Teodory. Zdawało mu się zawsze że jej uczucie dla niego jest więcej tkliwe niż namiętne, więcej naiwne, dziecięce, niż głębokie.

Siostra mówiła mu że Teodora szuka sposobności rozmawiania sam na sam z Ernestem Moore; czy kiedy pragnęła tak gorąco być z nim razem? Zimny dreszcz przebiegał jego członki kiedy myślał o tym młodym gentlemanie, gdyż musiał uznać że może być bardzo niebezpiecznym rywalem dla niego. Ulryk nie posądzał Teodory bynajmniej o nieszczerość lub obłudę; była na to zbyt dobrą, szlachetną i niewinną, a jeżeli nawet pokochała pana Moore, to sama jeszcze nie umiała sobie zdać sprawy ze swych uczuć; był nawet przekonanym że gdyby zrozumiała że kocha, nie wahałaby się wyznać to przed nim. Serce mu się ściskało kiedy pomyślał że od chwili kiedy poznał Dorę, a szczególnie od chwili w której wyjawiła mu swą miłość, tak często dziękował Bogu że mu wrócił wiarę w cnotę i wierność kobiet; a pomimo to, nawet teraz kiedy tak straszna boleść przenikała jego duszę na tę myśl samą, że może będzie musiał wyrzec się nawet nadziei szczęścia, dziękował Bogu że choć czas jakiś mógł cieszyć się tak błogiem marzeniem, że nie został z niego przebudzonym tak nagle jak wtenczas gdy kochał po raz pierwszy. Tylko nie chciał czekać dopóki nie zostanie powtórnie zdradzonym, a nadewszystko nie chciał aby to biedne dziewczę, lękając się teraz sprawić mu przykrość, postawiło się w położeniu które mogłoby ją w przyszłości doprowadzić do utraty dobrej sławy, i do pokrycia hańbą jego nazwiska.

Nie mógł i nie chciał wierzyć w oskarżenie wychodzące z ust osoby tak nieżyczliwej i uprzedzonej jak jego siostra, ale gdyby okazało się prawdziwem, zwróci natychmiast słowo narzeczonej, i będzie się starał wszelkiemi siłami aby jej zapewnić szczęście. Wszakże on jej zawdzięcza tyle chwil radośnych, tyle błogich nadziei, tyle marzeń rozkosznych.

Takiemi myślami zajęty wyjechał o siódmej wieczorem do Trampton, i łatwo się domyśléć że pomimo prawdziwie bohaterskiej mocy duszy, musiał się czuć bardzo nieszczęśliwym. To tak boleśnie wątpić o przywiązaniu osoby ukochanej, a choćby ktoś powtarzał ciągle dla pocieszenia się: to być nie może, nie chcę temu wierzyć, nie możemy pozbyć się niepokoju, podejrzenie utkwiło w naszym umyśle, przeklinamy oszczerców a jednak im wierzymy; dla tego też jesteśmy gotowi przywoływać, jak to czynił doktór Ford, śmierci na pomoc; byłby to gość prawdziwie dla nas pożądany w takim razie, gdyż uwolniłby nas na zawsze od tak bolesnej niepewności.

Kiedy przybył do Trampton, zadziwił się widząc że służący który przybiegł aby mu drzwi otworzyć, zagląda ciekawie do powozu, jak gdyby się dziwił że jeszcze ktoś drugi z niego nie wysiada.

W sieni spotkał siostrę, która zapytała go niespokojnie:

— Gdzie Teodora? Musiała przyjechać z tobą?

— Teodora! zawołał. Nie rozumiem cię. Czy jej tu nie ma? Nie widziałem jej wcale.

— Ja powiedziałam to samo, odezwała się miss Maryanna z pewnym wyrazem tryumfu.

Potem wbiegła do biblioteki wyprzedzając brata, i tam z jakimś rodzajem mściwego zadowolnienia zawołała:

— Oto Ulryk przyjechał, i nie widział jej wcale. Powiedzcie teraz co to ma znaczyć, co o tem myślicie?

— Nie umiem sobie tego wytłomaczyć, moja droga, odpowiedziała z wyrazem smutku i zniechęcenia lady Halsted.

— To być nie może, zawołała płacząc ciotka Marry.

Sir Lionel nakazał wszystkim milczenie, i opierając rękę na ramieniu siostrzeńca, odezwał się do niego prawie uroczystym głosem:

— Powiedz mi Ulryku twoje o tem zdanie, powiedz je szczerze.

— Moje zdanie, o czem? zapytał doktór Ford, spoglądając dokoła jakby żądał objaśnienia. Co się stało. Gdzie jest Dora?

— Oto nam właśnie idzie, gdzie ona jest? odpowiedziała Maryanna wstrząsając głową.

— Nie przewidywałam aby mogło wyniknąć coś złego, Ulryku, powiedziała lady Halsted, gdybym miała najlżejsze podejrzenie, nie zezwoliłabym na to aby pojechali razem.

— Trudno było nawet przypuścić aby mogła powziąść podobny zamiar, dodała miss Halsted.

— Była zawsze obłudna i przebiegła, odezwała się Maryanna.

Ulryk pobladł strasznie słuchając tych niezrozumiałych dla niego oskarżeń, które spadły mu na serce jak roztopiony ołów. Czuł że go spotkało jakieś nieszczęście, ale nie mógł się jeszcze domyśléć coby to być mogło, i zwrócił na sir Lionela takie same spojrzenie, jakiem lew zraniony błaga aby skrócono jego męczarnie.

— Już jej tu nie ma, mój biedny Ulryku; prosiła o pozwolenie udania się do Rockborough z Ernestem Moore, którego odwożono na stacyę kolei; powiedziała że potrzebuje widzieć się z tobą, i że wróci z kuzynką Maryanną, ale od tej chwili już nikt jej nie widział.

— Ale ja nie wstępowałem do domu po południu zawołał Ulryk, biedne dziecko czeka tam dotąd na mnie.

— Wybacz, Ulryku, ale ja wstąpiłam do domu zanim wróciłam do Trampton, i Wheler powiedział mi wyraźnie że nikt nie pytał się o ciebie.

— Więc cóż? zapytał patrząc na nią, prawie błędnym wzrokiem, sądzę że nie przypuszczasz tego że...

Przypomniał sobie co słyszał rano, przypomniał sobie co go już raz spotkało w tym domu, przez kogo został zdradzonym, i nie zdolny wymówić nic więcej, upadł na najbliższe krzesło.

— O, mój drogi Ulryku, jakże ja ubolewam nad tobą, odezwała się lady Halsted.

— Jakieś przekleństwo ciąży nad naszą rodziną, szepnął sir Lionel.

— Zdawała się tak dobrą miłą, niezdolną popełnić nieszlachetnego czynu, rzekła płacząc głośno ciotka Marry.

— To nie może być prawdą! krzyknął Ulryk, głosem tak zmienionym jakby nie z jego ust wychodził. Tu musi zachodzić jakaś pomyłka. Czy kto był w jej pokoju. Czy nie ma tam jakiegoś listu; czegoś takiego coby nam dozwoliło odgadnąć tę tajemnicę?

Miss Maryanna wybiegła natychmiast z biblioteki. Wyraz tryumfu który na twarz jej wywołała nadzieja że teraz już nikt nie potrafi rozdzielić ją z bratem, znikł nagle, kiedy patrzyła na straszną boleść biednego Ulryka, jednak widać znów było pewne zadowolnienie w jej oczach, kiedy wróciła do biblioteki trzymając w ręku list bez koperty.

— Oto list który Teodora odebrała dziś rano od pana Moore, zawołała pokazując go już zdaleka bratu. Znalazłam go pod biórkiem, gdzie, jak widać, upuściła go przypadkiem. Teraz, Ulryku, będziesz musiał uwierzyć że mówiłam prawdę.

Wyciągnął rękę po list, ale nie miał siły odpowiedzieć siostrze.

— Sądzę, odezwał się głosem w którym czuć było straszną boleść, że jako opiekun, i jako... jako... narzeczony... nie popełnię nic złego, jeżeli w obecności wszystkich tu zebranych, przeczytam ten list który może nam odkryć prawdę.

Następnie jak bohater spoglądający śmiało na broń wymierzoną do jego piersi, Ulryk wygładził list zmięty i zbliżył się do lampy aby go przeczytać. Ale coś jakby mgła gęsta zasłaniało mu oczy i nie widział prawie liter; w końcu jednak dzięki energicznym usiłowaniom zdołał nietylko przeczytać list ale i zrozumiéć go także. Wszyscy czekali niecierpliwie, nie śmiejąc się odezwać aby im powtórzył treść listu, ale Ulryk milczał ciągle, odczytując go kilka razy, jakby chciał zrozumiéć dobrze, potem

przyglądał się uważnie podpisowi, a nakoniec zawołoł gwałtownie:

— Boże mój! czy to być może?

— Co się stało? Co mówisz? Powiedz nam prędko.

Wszystkie te pytania odezwały się jednocześnie, ale Ulryk zwykle tak spokojny nie umiał już zapanować nad sobą.

— Moje kochanie! Moja najdroższa! zawołał. Nie wstrzymujcie mnie, muszę jechać natychmiast.

— Ale gdzież ona jest? Gdzie chcesz jechać?

— Do najwstrętniejszej części Rockboroug: do prawdziwego gniazda zepsucia i gorączki. Wielki Boże! Dora wystawiona na tak straszne niebezpieczeństwo! Muszę ją ztamtąd wyrwać, śpieszyć jej na pomoc.

— Ale nie rozumiem tego, Ulryku, jakim sposobem Teodora może znajdować się w części miasta wstrętnej do tego stopnia. Któż ją tam mógł zaprowadzić? Trudno przypuścić że Ernest Moore...

— Moore... O! nie! W liście tym nie ma o nim żadnej wzmianki (doktór Ford mówiąc to rzucił na siostrę tak pełne wyrzutów spojrzenie, że zmieszana tem cofnęła się o kilka kroków). Dora, sir Lionelu, udała sie tam na wezwanie człowieka wnoszącego z sobą wszędzie nieszczęście i hańbę. Jest to widocznie list od jej ojca, Dawida Fleming.

Zanim mieszkańcy Trampton ochłonęli z zadziwienia, w które ich wprawiła tak niespodziewana wiadomość, Ulryk Ford pędził już, nie żałując kóni, na ratunek swej ukochanej, swej narzeczonej.

XV.

Koniec pamiętnika Dory.

Mówiłam bardzo mało z panem Moore, jadąc z Trampton do Rockborough, i to jedynie o mniej lub więcej prawdopodobnem zezwoleniu jego rodziców na jego związek z Felicyą. Ja myślałam tylko o tem co miałam powiedzieć kuzynowi Ulrykowi, i jakie to na nim uczyni wrażenie; pan Moore był także smutny i zamyślony, dla tego też nie byliśmy usposobieni do rozmowy. Kiedy dojechaliśmy do miejsca w którem trzeba było zboczyć w ulicę wiodącą do domu kuzyna Ulryka, pociągnęłam za sznurek i kazałam otworzyć drzwiczki. Teraz dopiero przypomniałam sobie podejrzenia kuzynki Maryanny dotyczące mnie i pana Moore; i nie chcąc aby zobaczyła nas znów razem, postanowiłam dojść do domu piechotą. Pan Moore nie chciał na to pozwolić, stangret zapewniał że taki kawałek drogi przejedzie w parę minut, i że w sam czas dojedzie do stacyi, ale nie zważając na to wysiadłam z powozu, i pożegnawszy mego towarzysza udałam się do domu. Kiedy spostrzegłam zdala drzwi frontowe, opanowała mnie jakaś dziwna obawa; trzecia godzina dochodziła, i wiedziałam że nie zastanę kuzyna Ulryka, gdy przeciwnie mogłabym bardzo spotkać się z kuzynką Maryanną i być zmuszoną słuchać, aż do powrotu mego drogiego opiekuna, jej złośliwych uwag, docinków i morałów. Jednak nie mogłam pozostać na ulicy, przemogłam więc obawę, zbliżyłam się śmiało do drzwi wchodowych, i spostrzegłam wychodzącą właśnie z domu Joannę pokojówkę, o której wspominałam już dawniej. Ucieszyłam się, że znalazłam tak dobrą sposobność zasiągnięcia potrzebnych mi wiadomości.

— Jak się masz, Joanno? zawołałam. Czy pan jest w domu?

— A! to pani, miss Fleming! zawołała przybliżając się do mnie z uśmiechem. Pana nie ma w domu, i Wheler mówił właśnie, że kto wie czy nie wróci dopiero nad ranem.

Była to dla mnie bardzo przykra wiadomość, a jednak mogłam się spodziewać tego bo często dopiero późno w nocy wracał do domu.

— Gdzie jest Wheler?

— Wyszedł także do kogoś ze swych znajomych.

— Może zastałam miss Ford? zapytałam śpiesznie, dziś rano przyjechała do Rockborough.

— Wheler mówił mi że była tu około pierwszej, ale teraz nie ma jej z pewnością!

— Widzę że i ty zamierzałaś wyjść, Joanno.

— Tak, miss, nie mamy teraz tak wiele roboty, i dla tego Wichcote pozwoliła mi dziś pójść do rodziców, ale jeżeli mogę być potrzebna..

— O! nie, Joanno, nic nie potrzebuję, a zresztą nie chciałabym cię pozbawić sposobności odwiedzenia rodziny. Pójdę teraz zobaczyć nowe mieszkanie, dodałam, nie chcąc zatrzymywać jej dłużej, i udałam się tam rzeczywiście.

Ze wszystkich stron słyszeć się dawały uderzenia młotków, przybijano dywany, zawieszano portiery i t. d., ale ponieważ robotnicy byli zajęci pracą na pierwszem piętrze, nikt nie widział że weszłam do nieumeblowanego jeszcze pokoju na dole; miał to być później gabinet mego ukochanego, (jak nazywałam go zawsze, ale tylko w myśli). Usiadłam na jakimś stołku, i zaczęłam rozmyślać nad tem co mam czynić. Chciałam uzyskać pozwolenie mego drogiego opiekuna, ale go nie zastałam, i prawdopodobnie już go dziś nie zobaczę.

Nie mogłam pozostać na noc w Rockborough, gdyż nabawiłabym wszystkich w Trampton ciężkiego niepokoju; zresztą oczekując dłużej mogłabym już zapóźno przybyć do ojca. Wszakże pisał że jeżeli chcę go jeszcze widzieć żywym, powinnam natychmiast udać się do niego, a list jego odebrałam już sześć godzin temu. Kto wie czy i tak zdąże go pożegnać na zawsze?

Włożyłam rękę do kieszeni chcąc z niej wyjąć list ojca, odczytać go raz jeszcze, i obrachować w przybliżeniu, ile będę potrzebować czasu chcąc stanąć we wskazanem mi przez niego miejscu. Niestety! kieszeń była pusta. Zgubiłam jak widać list ojca, lub też zostawiłam go w Trampton w moim pokoju. To nie dozwalało mi wahać się dłużej; może przez moją nierozwagę powiększyłam jeszcze niebezpieczeństwo grożące memu ojcu, było więc moim obowiązkiem, udać się do niego natychmiast, a następnie wrócić jak najśpiesznie do Trampton, i starać się koniecznie odnaleźć ten list nieszczęsny. Chciałam postępować otwarcie, wyznać narzeczonemu wszystko co mi wolno było powiedzieć, ale okoliczności sprzeciwiały się temu; nie pozostaje mi więc nic jak tylko spełnić mój obowiązek, choćby mnie to najwięcej miało kosztować.

Wstałam z krzesła chcąc wykonać moje postanowienie, ale nogi chwiały się podemną, jakaś mgła zasłaniała mi oczy, i myślałam że zemdleję; był to skutek tylu wzruszeń i walki jaką musiałam stoczyć z sobą. Zdołałam jednak w końcu przemódz osłabienie, wyszłam z domu, doszłam do najbliższej stacyi fiakrów, i wsiadłam do najpierwszego jaki spotkałam.

— Gdzie mam jechać? spytał woźnica.

— Na Lover Ship-Street, do hotelu *Pod Aniołem.*

Nie wiedziałam wcale w jakiej części miasta znajduje się wskazane przezemnie miejsce, ale poznałam zaraz z wyrazu twarzy woźnicy, że nie spodziewał się abym tam chciała jechać.

— Przepraszam, miss, powiedział, ale nie dosłyszałem gdzie.

— Do hotelu *Pod Aniołem,* odpowiedziałam; jedź o ile można najprędzej.

Spojrzał znów na mnie, i poznał jak widać że należę do najwyższej klasy mieszkańców miasta, i dla tego odezwał się trochę nieśmiało, udając że nie może zamknąć drzwiczek:

— Mnóstwo teraz chorych w tej części miasta.

— Tak, wiem o tem, bo jadę właśnie tam aby odwiedzić osobę niebezpiecznie chorą.

Poczciwy człowiek widząc że trwam ciągle w raz powziętem postanowieniu, wsiadł na kozieł i ruszył żwawo z miejsca.

Jakkolwiek zostawałam ciągle pod wpływem głębokiego wzruszenia, nie mogłam tego nie dostrzedz że po niejakim czasie wjechaliśmy w ulice ciasne, brudne i wstrętne. Była to rzeczywiście taż sama część miasta, w której zabłądziłam kiedyś wybrawszy się potajemnie na przechadzkę. Ale wtenczas byłam jeszcze dzieckiem, biegłam więc wesoło przez ulice, nie troszcząc się o to jaki mają pozór; lecz teraz zamykałam oczy aby nie widzieć skierowanych na mnie ciekawych i zuchwałych spojrzeń, zatykałam uszy aby nie słyszeć dolatujących do mnie znieważających żartów; parę razy miałam nawet zamiar zawołać na woźnicę aby nie jechał dalej, i byłabym to uczyniła z pewnością, gdyby nie ta myśl że tam czeka na mnie może konający już ojciec. Zdawało się że ten poczciwy człowiek odgadł moje myśli, bo raz zatrzymał się z własnej woli, i zapytał się:

— Czy miss jest pewną że wskazała mi dobry adres?

— Zupełnie pewną, odpowiedziałam, powstrzymując łzy cisnące mi się gwałtem do oczu. Ale powiedz mi czy hotel *Pod Aniołem* znajduje się w równie szkaradnej części miasta?

— Nie jest to także miejsce odpowiednie dla takiej osoby jak miss, ale zawsze trochę przyzwoitsze od tej ulicy.

— W takim razie jedź dalej, odpowiedziałam poddając się konieczności.

W kilka minut później wjechaliśmy rzeczywiście w ulicę czyściejszą i porządniejszą, przynajmniej w porównaniu z tamtemi, i poczciwy mój woźnica zatrzymał się przed dużym domem, oznajmiając mi że to jest hotel *pod Aniołem.*

— Zaczekaj tu na mnie, rzekłam wysiadając.

Weszłam do domu, i zarumieniłam się silnie widząc że jestem w szynku.

Za bufetem stała tłusta kobieta w czepku ozdobionym pękiem robionych kwiatów, i młoda dziewczyna z włosami rozpuszczonemi i z wyrazem twarzy śmiałym i wyzywającym. Patrzyły na mnie ze zdumieniem, nie mogąc zapewnie pojąć po co tam weszłam.

— Czy tu mieszka gentleman... cudzoziemiec chory? zapytałam nieśmiało. Który przyjechał tu,.

— Tak, tutaj, odezwał się blizko mnie głos dobrze mi znany, i zanim zdołałam ochłonąć ze zdziwienia, pan Dawid wziął mnię za rękę i wprowadził do drugiej sali, wśród głośnego śmiechu znajdujących się tam kobiet i mężczyzn. Sala w której znajdowaliśmy się teraz była zupełnie pusta, ale pan Dawid nie chciał w niej pozostać.

— Pójdźmy na pierwsze piętro, rzekł, tam będzie spokojniej; a jak łatwo możesz się domyśléć, mam ci powiedzieć wiele.

(d. n.)

Opis do N-ru 5.

N. 1, 7 i 8. Ubranie wieczorowe ze stanikiem bawetowym.

Strojna suknia z białego atłasu i adamaszku, była ogarnirowana plisowanemi, 11 cent. szerokiemi falbankami. Tunika adamaszkowa w głębokie fałdy układana, u dołu wycięta w zęby objęte atłasem, nad któremi naszyty garnirunek 15 cent. szeroki, z atłasu przemarszczonego w bufki; długi, atłasowy bryt tylny w bufy podpięty, u dołu oszyty plisowaniem 7 cent. szerokiem. Do stanika z tułu sznurowanego dany kołniarz stojący i hiszpańskie rękawy z bufkami. Inne zwykłą formą rękawy dajemy na ryc. 7 i 8.

N. 2 i ryc. 46 w N-rze 6. Suknia strojna wizytowa ozdobiona frendzlą i szarfą. Krój Nr XVI, Fig. 72 i 73.

Model odrobiony był z ciemno fijołkowegó, broszowanego aksamitu i takiegoż atłasu. Spódnica atłasowa z tyłu oszyta była dwoma w kontrafałdy układanemi wolantami, z których dolny miał 33, górny 60 cent. szerokości. Boczne bryty ułożone w kontrafałdy, a bryt przedni w wązkie fałdy; aksamitne u dołu oszycie, miało 15 cent. szerokości. Fig. 75 podaje model i miary vetement, z tyłu krótkiego, z przodu otwartego od dołu i obłożonego szeroką plisą aksamitną. Do przodów dodana kamizelka plisowana atłasowa, zakończona plisowanym paskiem wszytym w drugie zakładki przodów, a zapiętym kokardą. Boczki stanika oszyte 30 cent. szeroką frendzlą sznelową przerabianą dżetem Szarfy wszyte z przodu pod plisę atłasową, z tyłu złączone węzłem i długiemi puklami, mają 20 cent. szerokości. Wykładany kołnierzyk i ubranie rękawów atłasowe; guziki z konchy perłowej. Grelotki 11 cent. długie przy kokardach, z dżetu i pasmanteryi.

N. 4—5. Kostium „Margerita. Krój na arkuszu dodatkowym Nr I, Fig. 1—6a.

Kostium składa się z krótkiej spódnicy i vetement z tyłu zapinanego, którego przody i boczki kraje się podług formy princesse, a plecy z baskiną dopełnia bryt brosty, którego model i miary dajemy na Fig. 4. Bryt ten podszywa się od dołu, na 94 cent. długości, atłasem albo materyą gładką lub w kratę, w górze fałduje i przyszywa do dołu plecków, z boków zeszywa się z boczkami przyfałdowanemi do 64 cent. długości, następnie dolny brzeg bryta fałduje się skośnie, (jak to wskazują krzyżyki i kropki) do 15 cent. szerokości, zakłada w górę i przyczepia do brzegu plecków w sposób na ryc. 4 wskazany, spuszczają róg przefałdowany ku dołowi. Fałdy przewiązuje się sznurem jedwabnym 350 centym. długim, z jednej strony do boczka pentlami przyszytym, z drugiej po przewiązaniu fałd, haftką metalową przypinanym. Vetement u dołu podszyte jest na 75 cent szerokości, takąż samą materyą jak bryt tylny, wywiniętą do wierzchu. Wązkie, na guziczki zapinane rękawy, zdobią w górze 3 zakładki, na które dodaje się w krajaniu 9 cent. długości. Rycina 3 przedstawia taki sam krój sukni urządzonej jako kostium „Margerite.“ Wązkie, zwierzchu zapinane rękawy, ozdobione są w górze bufką; stanik z głębokim kwadratowym wykrojem z przodu, dopełnia szmizetka bufowana muślinowa i kołnierz stojący w środku 4 centym. szeroki, od brzegów zwężony, sztywnym muślinem podszyty i drucikiem w górze oszyty. Z boku z przodu, vetement podpięte sznurem z kwastami lub okuciem, u którego wisi takżo woreczek Pompadour złotem wyszymany. U dołu tunika naszyta u dołu złotą plecionką.

N. 5. Ubranie dla małej panienki.

Składa się z bluzki i spódniczki z przodu gładkiej, z tyłu dosyć przemarszczonej, odrobionej z gładkiego ciemnego materyału, a przybrany materyałem w kratę, na tle takiegoż koloru.

N. 6. Fartuszek ze stanikiem, osłaniającym całą suknię. Krój Nr VII, Fig. 33 — 37.

Fartus[illegible] odrobiony był z płótna szarego, a przyozdobiony haftem krzyżykowym na kanwie kongresowej i plisami z ponsowego kretonu.

N. 9. Stanik wycięty pod suknię.

Kraje się podług dobrej formy stanika z półbatystu, naszytego w równe, $1/_8$ cent. szerokie zakładki, na wcięcie w pasie dwa razy podszyte tasiemką, a od dołu luźno puszczone. Wykrój szyi i rękawki zdobi wstawka 3 cent. i koronka niciana 4 cent. szeroka.

N. 11 i 44 w N-rze 6. Poduszka do kanapy. Deseń na ryc. 44 i Fig. 74 na arkuszu z krojami.

Tło poduszki stanowił kawałek welwetu piaskowego, drukowanego kolorowo, trzymający 22 cent. w kwadrat. Część środkowego deseniu i szlaku robionego na pluszu oliwkowym, dajemy w N-rze 6 na ryc. 44, dalszy ciąg deseniu na Fig. 74. Ten rodzaj haftu zpisywaliśmy w N-rze 3 przy ryc. 9. Wszędzie brzegi figur obwodzi się sznureczkiem metalowym okręcanym jedwabiem, a do haftu służy filozela dwunitkowa w metalowych kolorach.

N. 12. Szlak haftowany na kanwie nicianej.

Rycina 12 przedstawia nowy rodzaj modnego i pospiesznego haftu na kanwie, włóczkami hamburgskiemi i nierozdzielaną filozelą w różnych kolorach. Robota zaczyna się od środka figur, które po większej części zapełnia się ściegiem płaskim, a brzegi obwodzi ściegiem długim, lub przez wierzch włóczek przeszywanym. Tło zapełniają ściegi poprzeczne stębnowane, obejmujące 4 nitki kanwy, których rzędy mijają się ze sobą. Niektóre rzędy wypada robić nie podług podzielonej kanwy, lecz w środek krzyżyków, zajmując równo po 4 nitki. Dobór kolorów powinien być blady nie jaskrawy.

N. 17. Ubranie z vetement, dla panienki lat 10 — 12. Krój Nr XI, Fig. 47—51b.

Krając vetement z przodu gładko spuszczone, z tyłu podpięte, trzeba wpierw formę podaną na Fig. 47 i 48, od dołu przedłużyć i rozszerzyć podług oznaczonej miary. Następnie przy brzegach przodów naddać materyału na 3 zakładki 1 cent. szerokie, zaszyte przy listwie z guzikami i dziurkami. Ranwersy u dołu przodów mają $9\frac{1}{2}$ i 17 cent. brzeżnej długości. Kołnierz przykroić podwójnie z materyału, bez dodania w środek muślinu. Przy zeszyciu przodów z boczkami dać u dołu na podpięcie po 3 fałdy 2 cent. szerokie. Spódniczka podszyta muślinem ma 66 cent. długości a 160 dolnej szerokości; garnirunek stanowi wolant szeroki układany w kontrafałdy mające 6 cent. a przedzielane odstępami 4 cent. szerokiemi, pokrytemi pasami materyi jedwabnej. Nad wolantem dane drobne plisowanie 6 — 7 cent. szerokie, środkiem przestębnowane, w górnej części w odstępach 5 cent. wachlarzowo rozkładane i przyczepiane. Do sukienki z szafirowego kaszmiru, naszycia na wolancie, wypustki i kokardy dane z materyi jedwabnej takiego samego koloru. Guziki metalowe emaliowane.

N. 18. Płaszczyk z przemarszczaniem zwany „Douillete.“ Patrz ryc. 50 w N. 6. Krój na arkuszu Nr II, Fig. 7 — 12a.

Forma taka nadaje się tylko dla osób szczupłych i niezbyt nizkich i wymaga materyału miękiego jak atłas, kaszmir, popelina irladzka lub t. p. z podszewką flanelową lub jedwabną lekko podwatowaną. Przody, boki i plecy dopełniają się na długość i szerokość dolną, podług miar wskazanych na Fig. 7 — 9. Szerokość pleców fałdzisto odstających, tworzy się przez założenie w dwie fałdy górnych części rękawów Fig. 11 A i 11 B, przyszytych do przodów na ramieniu od O do P i dalej do Q, do pleców zaś od N do M. W ten szew wpuszczona jest przewarszczona w górze do 7 cent. szerokości część eelerynowa, z uagłówkeim 4 cent. szerokim, której formę wskazuje Fig 10; kraje się ją bez podszewki i zszywa od M do T z rękawami, złączonemi poprzednio z częścią spodnią Fig. 12, poczem przemarszcza się u góry a u dołu zakłada w fałdy $3\frac{1}{2}$ cent. głębokie i przyczepia do pleców pasując kropką do kropki. Spodnia połowa rękawów Fig. 12 łączy się z górną od R do Q a z płaszczykiem od Q do M wzdłuż przodow i boków; od M do T pozostaje niezszytą. Przy brzegu przednim rękawy przemarszczają się dwa razy do 54 cent., w miejscu oznaczonem linią prostą na formie. Przy wykroju szyi nad przemarszczaniem pleców i w około aż do przodów, dany nagłówek stanowiący rodzaj krezy. Model płaszczyka opisywany przez nas był z ciemno bronzowego indyjskiego kaszmiru, podszyty niezmiernie modnym na podszewki ponsowym pluszem a przybrany bronzowym pluszem [illegible] 12 cent. szerokości. Bogate przyozdobienie ze sznurów [illegible]muklerskich widoczna na ryc. 18 i 36 w N. 6



N. 1. Ubranie wieczorowe ze stanikiem bawetowym.

N. 2. Suknia ozdobiona szarfą i frendzlą. Patrz ryc. 49 w N-rze 6. Krój Nr XVI, Fig. 72—73.

N. 19. Szkatułka drewniana do listów, cygar i t. p.

Rycina 19 przedstawia szkatułkę z dębowego drzewa stojącą na nóżkach, 27 cent. długą, 19 szeroką a 14 wysoką, ozdobioną malowanemi medalionami, z wierzchu można umieścić monogram lub dewizę.



N. 3. Kostium „Margerite.“ Patrz plecy na ryc. 4. Krój vetement Nr I, Fig. 1 — 6.

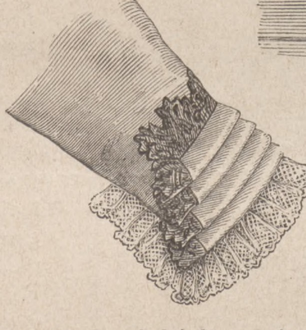
N. 20 — 22. Serweta ozdobiona haftem w guście starożytnym.

Deseń na arkuszu z krojami Fig. 77-79.

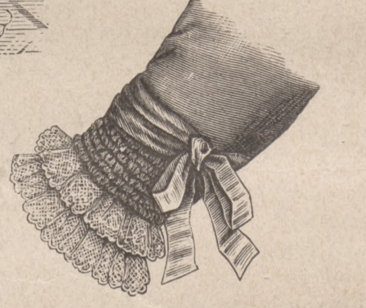
Środkowy deseń jest kopiją pięknego, starożytnego wzoru, szlak zaś dorysowany odpowiednio. Kontury można wywodzić ściegiem sznureczkowym lub łańcuszkowym; na tło wybiera się gładkie płótno lub też drelich deseniowy, wygląda bardzo ładnie szlak dodany z kolorowego adamaszku nicianego. Haft odrobiony nićmi białemi lub żółtawemi; tenże sam deseń wspaniale odbijałby wyszyty złotem i srebrem na aksamicie. Część deseniu załączona w naturalnej wielkości na ryc. 22, dopełnia się narożnikiem, danym na Fig. 78 i łączy podług znaczków odpowiednich z częścią środkową Fig. 79; Fig. 77 podaje deseń na haft środkowy, który odrobiony może być na poduszce do kanapy. Model był z żółtawego drelichu, wyszyty bawełną i nićmi: kontury kolorem niebieskim, środki zaś białe i bronzowe. Szlaczek powtórzony dwa razy na serwecie, wyszywa się w sposób wskazany na rycinie 21 w wielkości naturalnej. Mocna niciana koronka 5 cent. szeroka i kwaściki kolorowe zdobią brzegi serwety.



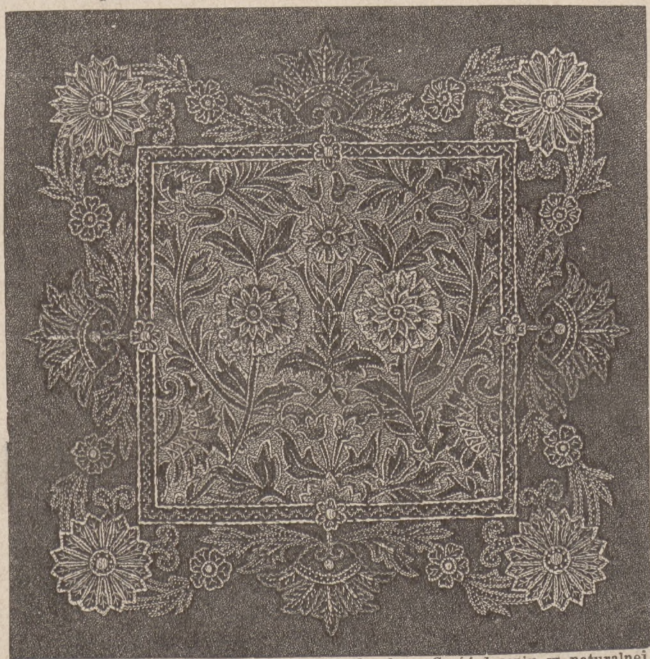
N. 5. Ubranie dla małej panienki. N. 6. Fartuch ze stanikiem. Krój N VII, Fig. 33 — 37.



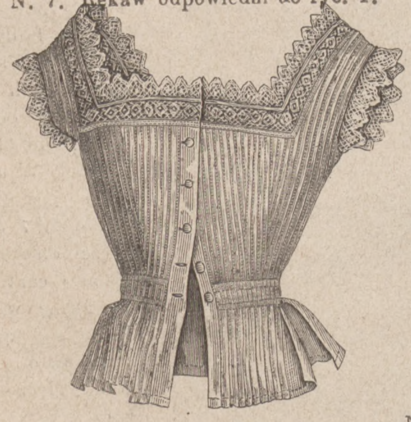
N. 7. Rękaw odpowiedni do ryc. 1.



N. 8. Rękaw odpowiedni do r. 1.



N. 11. Haft ze sznureczkiem metalowym na poduszkę. Część deseniu w naturalnej wielkości ryc. 44 w N-rze 6, oraz na Fig. 74



N. 9. Wycięty stanik pod suknię.



N. 10. Spódniczka biała flanelkowa ozdobiona niebieską plisą i stębnówką, plisowaniem i koronką nicianą.

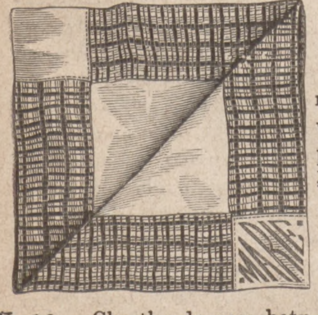


N. 12. Szlak robiony filozelą i włóczką na kanwie.

N. 23—24. Penioar z peleryną.

Krój na arkuszu Nr X, Fig. 46.

W penioarze przedstawionym z przodu i z tyłu na ryc. 23 do 24 przody z plecami złączone są szwem francuzkim; wykrój pachy podszyty skośną listewką 1 cent. szeroką. Skoro penioar zszyty jest wraz z peleryną zastępującą rękawy, potrzeba dodać garnirunek na plecach 13 cent. szeroki, przy którym schodzą się obie części peleryny podpięte u dołu kokardami z kolorowej wstążki. Wszywki haftowane $4^1/_2$ i falbanki marszczone 6 cent. szerokie oszyte koronką zdobią penioar ryc. 23. Na ryc. 24 zamiast falban widzimy szeroką koronkę zwaną „Bobinnet.“



N. 13. Chustka do nosa batystowa ze szlakiem szkockim bastowy. Na narożniku wyhaftowane imie ułożone w sposób najmodniejszy. Deseń na F. 80.



N. 4. Kostium „Margerite.“ Przód na ryc. 3. Krój Nr I, Fig. 1 — 6.

N. 25 — 26. Kaftanik ranny z karczkiem.

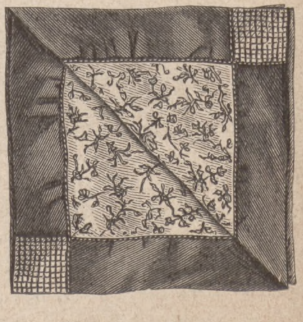
Krój na arkuszu Nr IX, Fig. 40 do 46a.

Długi kaftanik formą bluzy, dopełniony spódnicą z odpowiednim przybraniem stanowi ładne ubranie ranne i może być uszyty z wiktoryi, batystu, dymki lub t. p. Do przybrania służą koronki niciane i wszywki haftowane lub szlaczki kolorowe wyszyte krzyżykami. Rycina 26 przedstawia karczek cały stębnowany w drobne zakładki, zaś na ryc. 27 zdobny jest wszywkami z pod których wysuwają się wązniutkie falbaneczki. Jedwabny sznur z kwastami zastępuje krawatkę i pasek. Zestawienie części formy ułatwia Fig. 40a do 45a, założenie fałd objaśniają ryciny 25-62.

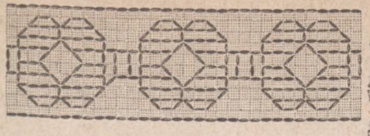
N. 27—31. Rękawiczki balowe i bižuterye.

Modne obecnie rękawiczki balowe sięgające nieledwie do ramion nie mogą być zapinane lecz sznurowane na sznureczki skórzane zaczepione na guziczki stalowe.

Bižuterje jakie przedstawiliśmy na r. 28—31 wyrobione są filigranowo ze złota i srebra.



N. 14. Chustka z bastu w deseń perski ze szlakiem gładkim.



N. 15. Szlaczek do bielizny wyszyty kolorowo. Powiększony służyć może do ryc. 39 w N-rze 6.



N. 20. Serweta na stół. Haft kolorowy na płótnie. Patrz ryc. 21 i 22. Deseń na Fig. 77 — 79.



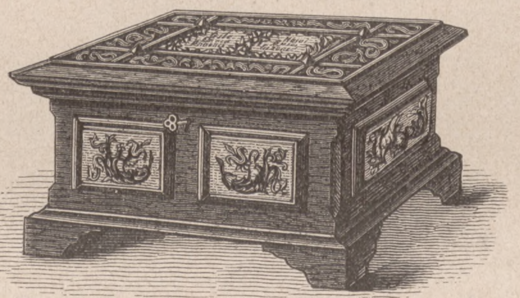
N. 16. Szlaczek do bielizny. Powiększony służyć może do ryc. 39.

N. 32—33. Podnóżek haftowany. Deseń patrz Fig. 39.

Ciemno oliwkowy filc stanowi tło pod haft wykonany włóczką angielską; średnica okrągłej poduszki wynosi 43 centym. Środkiem koła dany pas czarnej wełnianej torsady 7 1/2 centym. szeroki, na którym wyszyty deseń włóczką oliwkową, ponsową, niebieską i złotem. Brzegiem torsady i na około poduszki dany szlaczek, wyszyty podług ryc. 33 włóczką ponsową i w kilku cieniach przeszywaną ściegami piaskowemi, wyżej zaś małe ząbki z trzech nitek piaskowych do cieniu, przedzielane ściegami ponsowemi. Fig. 39 daje połowę deseniu zajmującego tło poduszki i wskazuje łatwość wykonania, kontury bowiem wywodzone są łańcuszkiem a środki zapełniane płaskim ściegiem; tylko w środkowej rozecie zakończenie górne stanowi ścieg dziergany a listki i żyłki dane ściegiem sznureczkowym. Ścieg płaski robiony jest włóczką dzieloną bez podkładania; kolory włóczki dobrane są blade, co ładnie odbija przy środkowym ciemnym pasie. Boki poduszki 11 cent. wysokiej przysłania bogata frendzla.



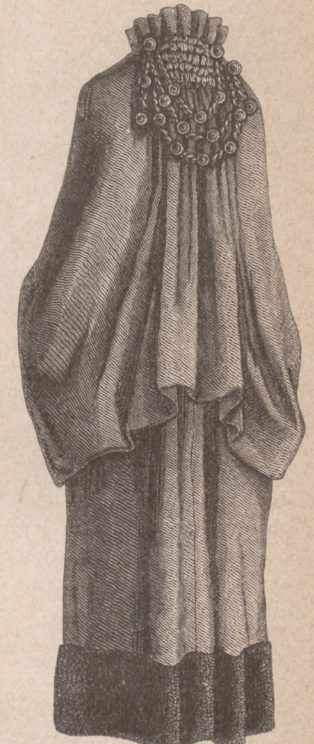
N. 17. Suknia z vetement dla panienki lat 10 — 12. Krój i plecy Nr XI, Fig. 47 do 51b.



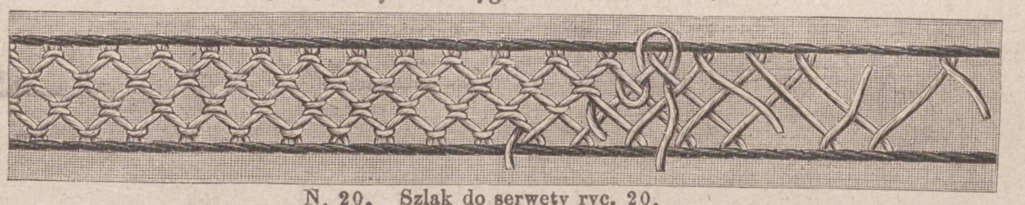
N. 19. Skrzynka na cygara lub kosztowności.

N. 34. Szlafrok z szerokiemi rękawami. Krój i plecy na arkuszu Nr III, Fig. 13 do 16.

Kaszmir na podszewce jedwabnej lub mousselnie de laine stanowi materjał na szlafrok, którego przód widzimy na ryc. 34 a plecy na Fig. 16. krój w małeńkim formacie przedstawia Fig. 23; szerokość zbywająca przy przodach zebrana jest przez zmarszczenie przy wykroju szyi, plecy (b) zaś założone są w podwójną kontrafałdę Watteau i podszyte od spodu na wcięciu stanu listewką. Formę rękawów i marynarskiego kołnierza



N. 18. Płaszczyk „Douillete.“ Patrz przód na ryc. 50 w N. 6. Krój Nr II, Fig. 7 — 12a.

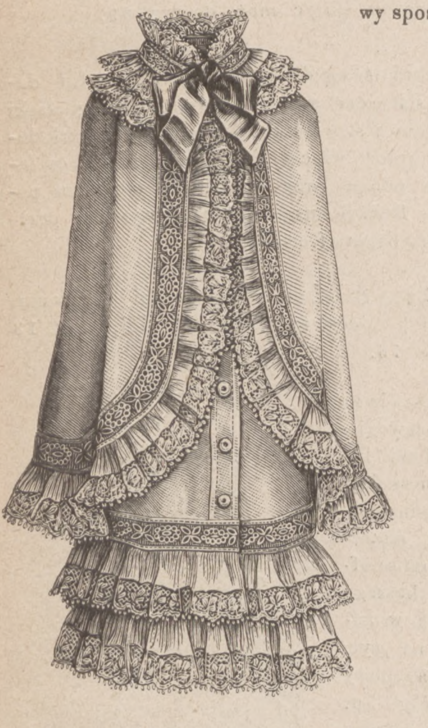


N. 20. Szlak do serwety ryc. 20.



N. 22. Część deseniu w naturalnej wielkości do ryc. 20, reszta deseniu na Fig. 77—79.

bardzo szerokiego z tyłu daliśmy na Fig. 14 — 15. Model z kaszmiru bordeau miał dodane wykłady przy rękawach, klapy przy kieszeniach, kołnierz i plisę wzdłuż przodu z aksamitu w paski ponsowe ciemniejsze i jaśniejsze. Na wcięciu stanu zamiast paska jest w nowy sposób dany sznur je-



N. 23. Penioar z peleryną, plecy na rycinie 24. Krój na arkuszu Nr X, Fig. 46.

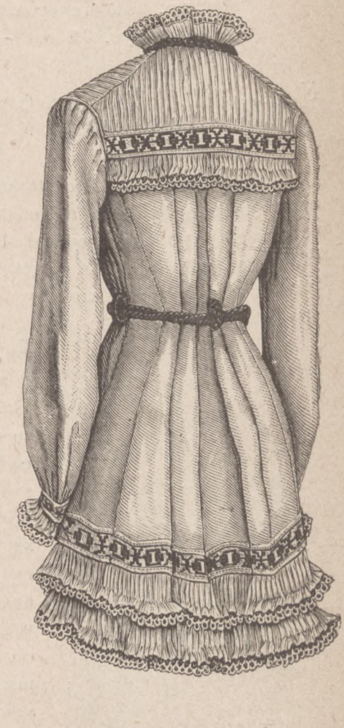
dwabny przewleczony jest w dziurki obrobione odpowiednio w odstępach 5 cent. Szerokie rękawy mogą być od spodu dopełnione drugiemi zupełnie obcisłemi.



N. 24. Penioar z peleryną. Przód na ryc. 23.

N. 25. Kaftanik ranny z karczkiem, plecy na ryc. 26. Krój Nr IX, Fig. 40 — 45a.

po 7 cent. szerokie, wyżej zaś do połowy dane przemarszczanie w szerokie i drobniutkie bufki. Tunika założona z przodu skośnie dopełniona z jednego boku falbaną zaplisowaną w szerokie fałdy. Długie podpięte tylne bryty sukni są z adamaszkowej materyi, jak również stanik ścięty z przodu ba-

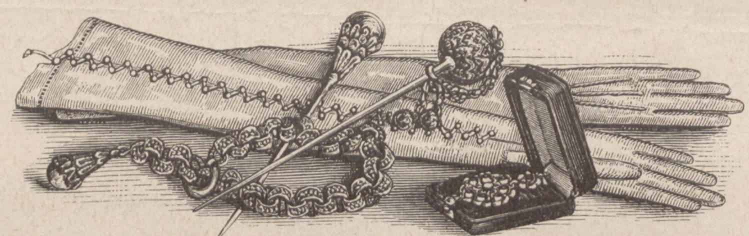


N. 26. Kaftanik ranny. Przód i krój podług ryc. 25.

wetowo z tyłu przedłużony w baskinę frakową. Przybranie stanika i krótkie bufowane przemarszczone u dołu rękawki są z gładkiej materyi.



N. 34. Szlafrok ranny z szerokiemi rękawami. Krój Nr III, Fig. 13 — 16.



N. 27 — 31. Biżuterye i rękawiczki balowe.



N. 32. Szlaczek do poduszki pod nogi ryc. 33.

N. 35. Ubranie wieczorowe.

Blado niebieska adamaszkowa materya jedwabna i takiż reps stanowią materyał na tę strojną suknię, przybraną koronką 8 centym. szeroką. Przód sukni z repsu ma u dołu cztery plisowane falbanki



N. 33. Poduszka pod nogi haftowana kolorami. Zobaczyć szlaczek na ryc. 33, deseń na Fig. 39.



N. 35. Ubranie wieczorowe.



Pl. 455.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.